

Dwadzieścia lat po przełomie – tradycje i współczesność demokracji parlamentarnej w Polsce

Materiały z konferencji zorganizowanej przez Senat RP, Polskie Towarzystwo Historyczne i Polskie Towarzystwo Nauk Politycznych

29 maja 2009 r.

Marszałek Senatu Bogdan Borusewicz

Szanowni Państwo!

Witam wszystkich w Senacie na konferencji „Dwadzieścia lat po przełomie – tradycje i współczesność demokracji parlamentarnej w Polsce” i dziękuję za przybycie.

Witam szczególnie panią profesor Teresę Sasińską-Klas, prezesa Polskiego Towarzystwa Nauk Politycznych, która będzie przewodniczyła obradom drugiej części konferencji. Witam pana profesora Krzysztofa Mikulskiego, prezesa Polskiego Towarzystwa Historycznego i jednocześnie prelegenta, a także pana profesora Tomasza Schramma, który będzie przewodniczył obradom w pierwszej części konferencji. Witam też prelegentów: panią profesor Katarzynę Sobolewską-Myślik, pana profesora Andrzeja Antoszewskiego, pana profesora Romana Bäckera, pana profesora Andrzeja Chwalbę, pana profesora Tomasza Gobana-Klasa, pana profesora Włodzimierza Mędrzeckiego. Witam także prezesa Najwyższej Izby Kontroli pana Jacka Jezierskiego, panów profesorów Henryka Samsonowicza i Janusza Tazbira oraz wszystkich pozostałych uczestników konferencji. Witam senatorów.

Występuję tu dzisiaj nie tylko jako marszałek kierujący pracami Senatu, polityk, ale też jako historyk z wykształcenia i ten, który był uczestnikiem i świadkiem wydarzeń z ostatnich kilkudziesięciu lat historii Polski. Tak się szczęśliwie składa, że świętujemy w tym roku dwie symbolicznie powiązane ze sobą rocznice, niezmiernie ważne dla naszej tożsamości. To 90. rocznica pierwszych wyborów parlamentarnych w odrodzonej Rzeczypospolitej oraz 20. rocznica pierwszych wolnych i demokratycznych – i to trzeba podkreślić – wyborów do

Senatu odrodzonego po drugiej wojnie światowej, pierwszych po długiej, długiej przerwie.

Obie te rocznice, w historycznym znaczeniu, są wyrazem determinacji w dążeniu do wolności i demokracji. Podobnie jak kiedyś Polacy cieszyli się odzyskaniem niepodległości w 1918 roku i wyłonionym w 1919 roku w wolnych wyborach Sejmem Ustawodawczym, tak my w roku 1989 świętowaliśmy pamiętne zwycięstwo wyborcze. Można powiedzieć, że w obu wypadkach, mając zakorzenione poczucie wolności, odczuwaliśmy jednakową dumę z możliwości samostanowienia o sobie po okresie niewoli i dyktatury komunistycznej.

Aby uczcić te wydarzenia i pamiętać o nich, Senat podjął uchwałę o ogłoszeniu roku 2009 Rokiem Polskiej Demokracji. Senat zwraca się w niej do obywateli o pielegnowanie demokratycznych obyczajów w życiu społecznym. Duch demokracji winien być czasem umacniania naszych tradycji i naszych wartości demokratycznych. Od czasu podjęcia tej uchwały Senat stara się realizować zawarte w niej treści i postulaty, organizując i wspomagając konferencje, wystawy okolicznościowe, konkursy, programy edukacyjne dla młodzieży.

Obchody zostały zainaugurowane w Senacie w styczniu bardzo interesującym wykładem obecnego dzisiaj w tej sali pana profesora Tomasza Schramma „Tradycje polskiego parlamentaryzmu ze szczególnym uwzględnieniem historii XX wieku”.

Szanowni Państwo!

Nasza konferencja odbywa się w przededniu obchodów 20. rocznicy pierwszych po drugiej wojnie światowej wolnych wyborów w Polsce. Z historycznej perspektywy można powiedzieć, że zbliżająca się pamiętna data czerwcowa wyznaczyła początek doniosłych zmian, których zwieńczeniem jest niepodległy i suwerenny byt odrodzonej Rzeczypospolitej. Okoliczności, które doprowadziły do tak radykalnej zmiany politycznej i społecznej, są znane.

Warto wspomnieć tu o pamiętnych rozmowach Okrągłego Stołu, poprzedzonych spotkaniem w Magdalence, zakończonych wiosną 1989 roku porozumieniem między ówczesną władzą komunistyczną a przedstawicielami opozycji. Tym zaczynem, który przygotował grunt pod późniejsze zmiany, były jednak liczne, dobrze przez nas pamiętane i przy wielu okazjach przypominane, wcze-

śniejsze wydarzenia z historii powojennej Polski. Wydarzenia, które przygotowały odpowiedni fundament, utrwalając w zbiorowej pamięci Polaków poczucie dumy narodowej, niezależności, dążenia do prawdy i chęci przeciwstawienia się obcym nam, narzucanym często w brutalny sposób przez władze komunistyczne, zasadom. Mam tu na myśli dowody oporu kilku pokoleń Polaków wobec narzuconej z zewnątrz niedemokratycznej, autorytarnej władzy.

Mogę i powinienem wymienić tragiczny okres oporu powojennego, potem protesty, manifestacje społeczne roku 1956, 1968, 1970, kształtowanie się opozycji demokratycznej w latach siedemdziesiątych i wreszcie pamiętny rok 1980. To masowe strajki i protesty sierpniowe, które zainicjowały powstanie niezależnego ruchu społecznego bez precedensu w krajach byłego bloku komunistycznego. Ruch „Solidarności”, który ogarniał wszystkie warstwy i grupy społeczne, wyznaczył – nie tylko w sferze symboli – drogę do odzyskania wolności i niepodległości. Doskonale o tym wiemy w Polsce, ale także poza granicami kraju mówię zawsze, że my w Polsce nic nie otrzymaliśmy za darmo.

Szanowni Państwo!

Jak wcześniej wspomniałem, Senat, jako Izba wyłoniona w pierwszych wolnych wyborach po wojnie, jest szczególnie predysponowany do utrwalania pamięci o historii polskiej, demokracji i parlamentarizmu polskiego. Podczas 20 lat funkcjonowania w demokratycznych strukturach państwa Senat inicjował szereg ważnych działań. Miały one na celu podtrzymanie tożsamości narodowej Polaków, a także wynikały ze stałego dążenia do budowy demokratycznego państwa. Chcę też przypomnieć, że w Senacie przygotowano i przeprowadzono reformę samorządową, która utrwałała system demokratyczny, nie tylko na poziomie najwyższym, ale także lokalnym.

Jestem głęboko przekonany, że rozpoczynająca się dzisiaj konferencja dobrze się wpisze w obchody Roku Polskiej Demokracji. Tematy, które będą tu poruszane, zarówno te dotyczące historii i tradycji polskiego parlamentarizmu, jak również naukowej oceny niedawnych wydarzeń, wzbogacą naszą dotychczasową wiedzę i umocnią poczucie realnego wpływu na kształtowanie wolnego społeczeństwa demokratycznego.

W tym przekonaniu oddaję głos prowadzącemu pierwszą, historyczną część

naszej konferencji, panu profesorowi Tomaszowi Schrammowi.

Prof. dr hab. Tomasz Schramm

Uniwersytet Adama Mickiewicza w Poznaniu

Panie Marszałku! Szanowni Państwo!

Część historyczna dzisiejszej konferencji poświęcona jest tradycji i demokracji parlamentarnej w Polsce. Tradycja to bardzo swoista, sięga czasów nowożytnych. Przypomnę, choć obecni tutaj to wiedzą, że terminologia ta, stosowana zgodnie z rygorem naukowym, odnosi się do okresu od początku XVI wieku. Sięga więc czasów, kiedy regułą ustrojową w Europie była formuła inna niż demokratyczna.

Polską demokrację szlachecką długo i zbyt chętnie postrzegano przez pryzmat niszczącego *liberum veto*. Lansowaniem tej „czarnej legendy” szczególnie zainteresowane były państwa zaborcze, potem także polityka historyczna naznaczona przez zwulgaryzowany marksizm. Doświadczenie demokracji szlacheckiej jest o wiele bogatsze i jemu poświęcone będzie wystąpienie pana profesora Krzysztofa Mikulskiego z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu.

Czasem niezwykle ważnym, wręcz fundamentalnym dla dziejów demokracji parlamentarnej w Europie, był wiek XIX. Kształtowały się wtedy nowoczesne narody i krystalizowała się idea państwa narodowego. W tym kluczowym okresie Polska nie istniała jako państwo z wyjątkiem pewnych form krótkotrwałych i niepełnych. O tym, jak w tych szczególnych warunkach wyglądała idea i praktyka demokracji, będzie mówił pan profesor Andrzej Chwalba z Uniwersytetu Jagiellońskiego, autor ważnych i poczytnych syntez dotyczących historii XIX wieku.

Niezmiernie ważne zjawiska przyniósł też wiek XX. Na skalę całej Europy był to triumf idei demokratycznych państw narodowych po pierwszej wojnie światowej, rychło jednak okazał się nader ograniczony. Potem zaś przyszło doświadczenie totalitaryzmu i podwójne doświadczenie Europy, przeciętej „żelazną kurtyną”, dziś już szczęśliwie zakończone. To wszystko było też udziałem Polski, w XX wieku mającej ponownie swój kształt państwowy. Ta problematyka będzie przedmiotem referatu pana profesora Włodzimierza Mędrzeckiego z Instytutu Historii Polskiej Akademii Nauk.

Jak wspominał pan marszałek, obecny rok został przez Senat ogłoszony Rokiem Polskiej Demokracji, w czym nie miały udział, podobnie jak w dzisiejszej sesji, ma Polskie Towarzystwo Historyczne. Uczestnikom naszego spotkania daje ono to, co ma najlepszego, nie tylko trzech wybitnych historyków, ale także swojego prezesa, wiceprezesa i sekretarza generalnego.

Przejdźmy zatem do naukowej części, już do właściwej prezentacji referatów.

Proszę o zabranie głosu pana profesora Krzysztofa Mikulskiego, który wygłosi referat: „Parlamentaryzm polski w XVI–XVIII wieku”.

Prof. dr hab. Krzysztof Mikulski

Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu

Panie Marszałku! Szanowni Państwo!

Znacznie lepszym momentem i miejscem do wygłoszenia tego referatu niewątpliwie byłby okres kilka lat wcześniejszy, ponieważ w roku 2005 mieliśmy zaszczyt obchodzić 500-lecie, w pewnym symbolicznym wymiarze, polskiej demokracji. Wówczas te obchody umknęły gdzieś, zginęły wśród ważniejszych może wydarzeń politycznych i kulturalnych. Dlatego bardzo cieszymy się z tej inicjatywy Senatu Rzeczypospolitej Polskiej, że właśnie ten rok, który jest również symboliczny, ustanowił Rokiem Polskiej Demokracji. Dodam, że zbiegają się w nim trzy bardzo ważne daty dla polskiej demokracji, bo początki trzech Rzeczypospolitych: Unia Lubelska z roku 1569, która rozpoczęła I Rzeczypospolitą, Rzeczypospolitą Obojga Narodów, i wreszcie te dwie daty, o których pan marszałek wspominał. Mamy więc rzeczywiście okrągłe rocznice wszystkich trzech, jeżeli je będziemy numerować, naszych Rzeczypospolitych.

Przyjmuje się, że parlament polski ukształtował się ostatecznie w końcu XV wieku. Często wskazuje się nawet na konkretną datę, rok 1493, kiedy odnotowano po raz pierwszy, że na sejm do Piotrkowa przybyli „posłowie od braci”, czyli reprezentanci szlachty, wybrani na sejmikach ziemskich.

Geneza parlamentu polskiego była długa, choć w ostatnim okresie, bezpośrednio poprzedzającym wykształcenie się Izby Poselskiej, przebiegało to dość gwałtownie. Sejm walny wywodził się z ogólnopolskich wieców, organizowanych już za panowania Władysława Łokietka, na które przybywali członkowie

Rady Królewskiej, szlachta, przedstawiciele miast i duchowieństwa.

Za panowania Jagiellonów wiece przybrały formę sejmu walnego, który obradował dosyć systematycznie. Przybyć tam mógł każdy bezpośredni poddany króla. Podczas takich zjazdów władca zasięgał opinii poddanych w sprawach wagi państwowej, ogłaszał nowe prawa i przywileje.

Szczególne znaczenie dla rozwoju polskiego parlamentaryzmu miało ogłoszenie przez Kazimierza Jagiellończyka tak zwanych przywilejów nieszawskich w 1454 roku. Pod naciskiem szlachty, zgromadzonej na wyprawę przeciwko zakonowi, król w dwóch odrębnych przywilejach, dla Małopolski i Wielkopolski, wyraził zgodę na współdecydowanie o najważniejszych sprawach państwa: wybieraniu podatków i zwoływaniu pospolitego ruszenia przez zgromadzenia prowincjonalne szlachty, zwane sejmikami.

Te zjazdy szlacheckie, posiadające dotąd niewielkie kompetencje doradcze, stały się nagle jednym z najważniejszych organów ustawodawczych w państwie. W chwili ogłoszenia przywilejów funkcjonowało około 30 sejmików. Ich liczba uniemożliwiała zatem zgodne podejmowanie decyzji, z punktu widzenia króla komplikowała też procedurę uzyskiwania zgody szlachty. Już wkrótce więc reprezentanci sejmików spotykać się zaczęli na prowincjonalnych zjazdach: w Kole – dla Wielkopolski i Nowym Mieście Korczynie – dla Małopolski, gdzie uzgadniali swe stanowiska w sprawie propozycji królewskich. Zgodę na uchwalenie podatków często uzależniano od zgody drugiej obradującej części szlachty. Od tego pozostał już tylko krok do ustalenia się zasady cedowania decyzji sejmików na wybieranych przez nie posłów, którzy zjeżdżali się na ogólnopolskie sejmy walne.

O ostatecznym kształcie parlamentu zadecydowały właściwie trzy wydarzenia. W niezrealizowanym ostatecznie przywileju mielnickim z 1501 roku Rada Królewska – dotychczas dość swobodnie kształtowana – po raz pierwszy została określona jako Senat Królestwa Polskiego. Jego skład odtąd zaczął być ograniczany do grupy najwyższych urzędników duchownych (arcybiskupi i biskupi obrządku rzymskokatolickiego) oraz świeckich (ministrowie, wojewodowie i kasztelanowie).

Podwaliny pod równe kompetencje wszechstanów sejmujących w stano-

wieniu prawa położyła pierwsza konstytucja sejmowa z 1505 roku, uchwalona podczas obrad Sejmu w Radomiu. Zawierała też znamienne słowa: *Nihil novi*, które nadały nazwę własną temu aktowi prawnemu pierwszorzędnej wagi. Oznaczały one, że odtąd żadne nowe prawo nie może być uchwalone bez równoczesnej zgody trzech stanów sejmujących: króla, Senatu i Izby Poselskiej.

Aż do Unii Lubelskiej z 1569 roku, której 440. rocznicę uchwalenia właśnie obchodzimy, w parlamencie polskim nie zasiadali przedstawiciele szlachty i duchowieństwa ze wszystkich prowincji państw Jagiellonów. Nie było w nim reprezentantów Wielkiego Księstwa Litewskiego, pozostającego jedynie w unii personalnej z Królestwem Polskim. Nie było też reprezentantów Prus Królewskich, a więc dzisiejszego Pomorza, a do 1562 roku – również przedstawiciele szlachty niewielkiego Księstwa Oświęcimsko-Zatorskiego. To dopiero akt Unii Lubelskiej stworzył jednolitą reprezentację poddanych dwóch państw ostatniego z Jagiellonów. Odtąd często określano je jako Rzeczpospolitą Obojga Narodów. Wspólna wolna elekcja i koronacja króla, wspólny parlament i wspólna polityka zagraniczna stanowiły fundamenty unii realnej między Królestwem Polskim a Wielkim Księstwem Litewskim, której żadna ze stron praktycznie nie mogła już zerwać.

W skład parlamentu Rzeczpospolitej Obojga Narodów wchodziły trzy stany sejmujące: król, Senat i Izba Poselska. Początkowo król miał w nim bardzo silną pozycję. Mimo koncesji ustrojowych udzielanych szlachcie Jagiellonowie prawie do końca swojego panowania zachowali zdolność rządzenia bez zgody Izby Poselskiej na najważniejsze posunięcia polityczne. Dopiero wojna inflancka i klęska Litwy w bezpośrednim starciu z państwem moskiewskim Iwana Groźnego zmusiły Zygmunta Augusta do ustępstw, które ostatecznie doprowadziły do Unii Lubelskiej. Po 1572 roku, a więc po śmierci ostatniego z Jagiellonów, pozycję króla ograniczały dodatkowo zaprzysięgane każdorazowo podczas koronacji pakta konwenta i artykuły henrykowskie. Od połowy XVI wieku król nie mógł już samodzielnie stanowić prawa, nakładać podatków ani dysponować majątkiem państwa. Od 1607 roku przy jego boku przebywali stale tak zwani senatorowie rezydenci, których rady władca musiał zasięgać we wszystkich ważnych sprawach państwowych.

Senat składał się z kilku kolegów o ściśle określonej hierarchii, odzwierciedlonej w odległości zajmowanego miejsca od tronu królewskiego. Najbliżej władcy zasiadali senatorowie duchowni na czele z prymasem, arcybiskupem gnieźnieńskim, który na czas bezkrólewia obejmował też zaszczytny urząd interreksa. Senatorowie świeccy podzieleni byli na cztery grupy: wojewodów, na czele z najwyższym senatorem świeckim kasztelanem krakowskim, kasztelanów krzesłowych, kasztelanów drażkowych (tak zwani kasztelanowie więksi i mniejsi) oraz ministrów.

W skład Izby Poselskiej wchodziłi reprezentanci szlachty, wybierani przez nią podczas obrad sejmików ziemskich. Z sejmików ulokowanych najwyżej w hierarchii ziem wybierano po 6–7 posłów, z sejmików niżej usytuowanych i powiatów litewskich – po 2. Jedynie szlachta Prus Królewskich utrzymała aż do czasów stanisławowskich prawo do wybierania dowolnej liczby posłów. Zdarzało się, że w sejmie miało prawo uczestniczyć nawet ponad 30 posłów z Pomorza. Nie powodowało to jednak żadnej przewagi w uchwalaniu konstytucji sejmowych. W polsko-litewskim parlamencie wotowano bowiem ziemiami, a więc każdy sejmik dysponował formalnie jednym głosem. Liczba posłów rosła zatem systematycznie od około 40 w pierwszej połowie XVI wieku do około 200 po włączeniu do ich składu posłów litewskich i pruskich w drugiej połowie XVI wieku.

W XVI wieku sejmy odbywały się głównie w Piotrkowie i Krakowie. W XVII wieku głównym miejscem obradowania sejmu stała się Warszawa. Konstytucja z 1673 roku wprowadziła zasadę, że co trzeci sejm miał się odbywać w Wielkim Księstwie Litewskim, w Grodnie. W następnych latach generalnie stało się to przestrzegana regułą.

Obrady sejmowe miały swój porządek. Rozpoczynano je uroczystą mszą świętą z udziałem króla, senatorów i posłów, dworzan i ambasadorów obcych monarchów. Następnie posłowie dokonywali obioru marszałka i przeprowadzali tak zwane rugi poselskie, czyli sprawdzali legalność wyboru poszczególnych reprezentacji sejmikowych. Marszałka wybierano na zasadzie alternaty. To znaczy, że kandydatów zgłaszały na kolejnych sejmach trzy prowincje dawnej Rzeczypospolitej: Małopolska, Wielkopolska i Litwa.

Po wyborze marszałka posłowie udawali się do króla i Senatu. Następowaly obrady połączonych izb. Najpierw marszałek witał króla, w imieniu tego ostatniego odpowiadał mu kanclerz lub podkanclerze. Następnie każdy z posłów dostępował zaszczytu ucałowania ręki królewskiej. Potem odczytywano propozycję królewską dotyczącą przedmiotu obrad. W okresie późniejszym odczytanie propozycji od tronu poprzedzano przypomnieniem zobowiązań królewskich w ramach paktów konwentów oraz rozdawano wacansy, czyli nominacje na nieobsadzone urzędy ziemskie. Ważnym elementem obrad izb połączonych były wota senatorskie, podczas których senatorowie, zgodnie z hierarchią zajmowanych miejsc, odpowiadali na propozycje królewskie.

Następnie izby rozłączały się. W zasadzie debatowała jedynie Izba Poselska, gdzie omawiano brzmienie konstytucji sejmowych. Warto w tym miejscu wspomnieć, że konstytucje sejmowe w ówczesnym rozumieniu to akty prawne, które dzisiaj określilibyśmy jako ustawy. W tej części obrad sejmu król z Senatem odbywali tak zwane sądy sejmowe, dotyczące przestępstw przeciw racji stanu, zdrady monarchy. W trakcie obrad mogły mieć miejsce różnego rodzaju konsultacje między izbami, tworzone mieszane komisje senatorsko-poselskie, deputacje do redagowania komisji, do spraw finansów i wojska. Treść konstytucji uzgadniano na drodze kompromisu, na zasadzie jednomyślności. Zasada ta, początkowo wymagająca jednomyślnej zgody sejmików na treść poszczególnych konstytucji, w połowie XVII wieku została odniesiona do zgody wszystkich posłów. Sprzeciw jednego z nich i opuszczenie izby zaczęto traktować jako zerwanie obrad, uniemożliwiające kontynuację obrad sejmu.

Zasada ta, określona jako *liberum veto*, stała się w drugiej połowie XVII i w XVIII wieku zgorą parlamentaryzmu polskiego, umożliwiającą blokowanie obrad sejmowych przez opozycję, szczególnie w okresie ożywionej walki politycznej frakcji magnackich za panowania dynastii Wettynów.

Gdy Izbie Poselskiej udało się ustalić ostatecznie brzmienie konstytucji, następowało ponowne połączenie izb, czytanie projektów konstytucji. Jeżeli nie pojawiły się wówczas głosy sprzeciwu, kolejne akty uznawano za uchwalone. Ostateczna redakcja treści konstytucji należała do kancelarii królewskich, a wprowadzenie ich w życie następowało poprzez ogłoszenie drukiem. Prawo do

drukowania konstytucji sejmowych było zastrzeżone dla jednej, wybranej oficyny wydawniczej.

Sejmy kilkakrotnie w bardzo poważnym stopniu reformowały ustrój Rzeczypospolitej. W tym zakresie po sejmie lubelskim z 1569 roku najważniejsze i najdalej idące zmiany do ustroju dawnej Rzeczypospolitej Obojga Narodów wniosły sejmy z roku 1717, z lat 1764–1766 i 1772–1775 i wreszcie tak zwany Sejm Czteroletni albo Sejm Wielki z lat 1788–1792, wsławiony przede wszystkim uchwaleniem Konstytucji 3 maja.

Do tego ostatniego spróbuję odnieść się dzisiaj, ponieważ – jak się wydaje – dla legendy polskiego sejmu i parlamentaryzmu I Rzeczypospolitej to najważniejsze. Niewątpliwie najbardziej znanym sejmem dawnej Rzeczypospolitej był tak zwany Sejm Wielki, zwany też Sejmem Czteroletnim. Swoją rangę zawdzięcza, uchwalonej w czasie jego trwania, Konstytucji 3 maja, która stała się w polskiej tradycji narodowej synonimem myśli reformatorskiej, dążeń niepodległościowych. Po odzyskaniu niepodległości, w XX wieku, na pamiątkę tego wydarzenia w tym dniu ustanowiono jedno z najważniejszych polskich świąt państwowych.

Konstytucja 3 maja składała się z 11 artykułów. Już w pierwszych z nich przyznawała katolicyzmowi rangę religii panującej i zakazywała konwersji na inne wyznania. Organem ustawodawczym miał być sejm, złożony z Senatu i Izby Poselskiej, w której mieli też zasiadać mieszczańscy doradcy. Konstytucja likwidowała *liberum veto* i legalność zwoływania konfederacji, czyli zbrojnego występowania szlachty przeciw państwu, reprezentowanemu przez króla. Wprowadzała również dziedzicność tronu. Po śmierci Stanisława Augusta tron polski mieli otrzymać Wettynowie. Organem wykonawczym został rząd, zwany strażą praw, który powoływał władcę. W skład rządu mieli wchodzić ministrowie edukacji, policji, wojska i skarbu. Polityką zagraniczną kierowałby kanclerz, mianowany również przez króla.

Najsłabszą stroną konstytucji były te jej artykuły, które dotyczyły spraw społecznych. Mieszkańcy miast i chłopci pozostawali poza obrębem narodu politycznego. Rzeczypospolita nadal miała być państwem tylko jednego stanu – szlachty.

Przeciw konstytucji zdecydowanie wystąpiły Rosja i Prusy, a także opozycyjna część szlachty. Warto pamiętać, że konstytucja uchwalona została w atmosferze zamachu stanu, podczas nieobecności na sali obrad znacznej części posłów opozycji. Państwa ościenne obawiały się przede wszystkim wzmocnienia Rzeczypospolitej i odzyskania przez nią pełnej suwerenności.

Po kilka miesięcy trwającej wojnie polsko-rosyjskiej w wyniku konsultacji ze swymi ministrami Stanisław August postanowił przystąpić do zawiązanej 24 lipca 1792 roku przez opozycję konfederacji targowickiej. Tę datę można też traktować jako koniec obowiązywania w Polsce Konstytucji 3 maja.

Ostatecznym efektem prób reformy państwa były kolejne rozbiory, które zakończyły samodzielny byt polityczny Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Do dziś trwa w historiografii Polski spór o Konstytucję 3 maja. Z jednej strony, padają argumenty o jej przełomowym, reformatorskim charakterze, o tym, że była drugą konstytucją w świecie. Z drugiej – pada pytanie, czy próba reform politycznych w tym czasie w Polsce nie była przedwczesna, a działalność Sejmu Wielkiego nie stała się przyczyną ostatecznego upadku państwa. Odpowiedzi na te pytania oscylują między wielkim patriotycznym mitem a surową *real politic*.

Stosunek do Sejmu Czteroletniego ma też olbrzymie znaczenie dla oceny działalności sejmu polskiego w okresie staropolskim. Parlamentaryzm I Rzeczypospolitej niewątpliwie był jednym z najważniejszych wyróżników tego państwa w ciągu ponad dwóch wieków jego istnienia. Mimo swojej ograniczoności narodem politycznym w państwie była tylko szlachta, prawo współrządzenia państwem miało zatem około 10% jego obywateli. Stawiało to Rzeczpospolitą w gronie najbardziej demokratycznych państw europejskich.

Szlachta była rozmiłowana w tworzonym przez siebie ustroju do tego stopnia, że nie potrafiła dostrzec jego negatywnych stron i zagrożeń dla suwerenności państwa, tkwiących w doktrynalnie wprowadzonych prawach kardynalnych, podkreślających niezmienną podstaw ustrojowych, konstytuujących I Rzeczpospolitą, w unii polsko-litewskiej, wolności szlacheckiej, dominacji wyznania rzymskokatolickiego i zasadzie *liberum veto*.

Znany publicysta epoki saskiej Stanisław Dunin-Karwicki pisał, że „Polska nierządem stoi”. To było zdanie bardzo często cytowane później przez przeciw-

ników i krytyków polskiej demokracji. Dalej dodawał on jednak: „jeno wolnościom”. Pierwszy człon tego wywodu cytowano wielokrotnie jako symboliczne przyznanie się szlachty do klęski koncepcji państwa. Nie rząd jednak był w tej koncepcji najważniejszy, a tym bardziej nierząd, ale wolność jednostki, przez szlachcica pojmowana jako najwyższa wartość obywatelska. Czy idea ta nie jest obecna w dzisiejszej ideologii demokracji parlamentarnej?

Nieżyjący już wybitny historyk epoki saskiej Józef Andrzej Gierowski pisał w swojej syntezie dziejów Polski, że system polityczny, wprowadzony w połowie XVI wieku w Rzeczpospolitej: „zdołał przetrwać i zaowocować ugruntowanym poczuciem wspólnoty, jaka wytworzyła się nie tylko wśród szlachty, ale też wśród innych warstw, nie tylko Polaków i Litwinów, ale także Rusinów, a więc, Ukraińców i Białorusinów, Niemców, Żydów, Ormian, Tatarów czy innych grup narodowych, egzystujących w państwie polsko-litewskim, nie tylko wśród katolików, ale też kalwinów, luteranów, braci polskich, prawosławnych czy wyznawców religii niechrześcijańskich, judaizmu lub islamu”.

To poczucie wspólnoty przejawiało się w przywiązaniu do kraju i rozwoju świadomości obywatelskiej, jeżeli nawet pełnią uprawnień obywatelskich cieszyła się tylko szlachta. Zdawano sobie bowiem sprawę, że to Rzeczpospolita i jej ustrój zapewniają różnym grupom narodowym i wyznaniowym swobodę i autonomię rozwojową. Liczne przywileje i uprawnienia gospodarcze i kulturalne odróżniały nasz kraj od innych państw, gdzie silna, niekiedy despotyczna, władza monarsza nie dawała tego rodzaju możliwości i dążyła do uniformizacji wyznaniowej i narodowej. Czyż można wystawić lepszą laurkę parlamentowi, który był gwarantem tych swobód i ich ustrojowym ucieleśnieniem?

Ocena parlamentaryzmu I Rzeczpospolitej zmienia się na naszych oczach. Szukamy dzisiaj podobieństw między założeniami Unii Lubelskiej a zasadami współpracy państw współtworzących Unię Europejską. Do tradycji I Rzeczpospolitej i jej systemu politycznego coraz częściej i coraz bardziej przychylnie ustosunkowują się młode historiografie innych krajów, współtworzących niegdyś państwo polsko-litewskie: Litwy, Ukrainy, Łotwy, Białorusi. W historiografii ukraińskiej pojawił się ostatnio pogląd, że to właśnie Unia Lubelska stworzyła podwaliny pod ostateczne wykształcenie się narodu ukraińskiego. Wszystkie

ziemie dzisiaj składające się na to państwo znalazły się bowiem wówczas właśnie w granicach jednej Rzeczypospolitej, jednego Królestwa Polskiego.

Mit demokracji szlacheckiej, zożydzany w okresie zaborów, przetrwał próbę czasu. Warto zawsze pamiętać, że jakkolwiek I Rzeczpospolita upadła pod naporem potężniejszych sąsiadów, to stało się to, gdy dojrzewała do rozwoju i metamorfozy w nowoczesne państwo. Można dziś postawić tezę, że rozbiory Rzeczypospolitej zahamowały rozwój cywilizacji zachodnioeuropejskiej na wschodzie kontynentu na dwa stulecia. W bardzo niekorzystny sposób wpłynęły na rozwój społeczny i gospodarczy, a także na budzenie się świadomości narodowej licznych ludów dawnej Rzeczypospolitej.

Dziękuję bardzo.

Prof. dr hab. Tomasz Schramm

Uniwersytet Adama Mickiewicza w Poznaniu

Dziękuję bardzo panu profesorowi za to znakomite przedstawienie z zachowaniem pełnej dyscypliny czasowej.

O zabranie głosu proszę pana profesora Andrzeja Chwalbę. Tytuł jego wystąpienia to „Miejsce polskiej demokracji w demokracji europejskiej w XIX wieku”.

Prof. dr hab. Andrzej Chwalba

Uniwersytet Jagielloński

Panie Marszałku! Pani Przewodnicząca! Panie Profesorze!

To, co pan profesor Mikulski skończył, wypada kontynuować, czyli zastanowić się, jak wyglądała Polska demokracja, polscy demokraci, bo wtedy oni już się pojawili w Europie, ale w kontekście europejskim.

Zanim jednak o tym, powiem dwa zdania na temat tego, co będzie istotne, mam nadzieję, dla wielu państwa obecnych na sali. We wrześniu tego roku Polskie Towarzystwo Historyczne, o którym wspominał pan profesor Tomasz Schramm, organizuje wielkie święto. Historycy zwykle dużo pracują w archiwach, dużo wydają. Nie mają jednak często czasu chwalić się tym, co przygotowali. Tak było od końca wieku XIX i tak pozostało do dzisiaj. Wielkie zjazdy historyków, z udziałem 2–3 tysięcy osób, odbywają się w cyklu 5-letnim. Najbliższy zjazd będzie w Olsztynie, czyli niedaleko Warszawy, Wszystkich tu

obecnych, w imieniu pana profesora Mikulskiego i Polskiego Towarzystwa Historycznego, na ten zjazd zapraszamy. Podejmiemy tam nie tylko wątek demokracji, ale również inne, związane z rokiem 1989, oceną PRL. Ponownie znakomici historycy będą debatowali na temat korzeni, źródeł współczesnej cywilizacji. Myślę, że warto tam być. Programowi naukowemu towarzyszyć będą różne imprezy, łącznie z wycieczką do Kaliningradu. Zainteresowanych zapraszam do studiowania Internetu. Mam nadzieję, że w połowie września spotkamy się w Olsztynie, przynajmniej w reprezentatywnym gronie. Zobaczymy.

Wiadomo, że demokracja nie powstała dopiero w XIX wieku. To okres powstawania wielu wynalazków, wniósł dużo do dziejów świata. Wiadomo jednak, że demokracja jest wynalazkiem zupełnie innego czasu i innego miejsca w Europie. Wiek XIX wymyślił liberalizm, konserwatyzm, socjalizmy, nacjonalizmy i feminizmy – bo nie było jednego. To wszystko pojawiło się w XIX wieku. Wtedy wymyślono również nowoczesną ideę narodową. Profesor Schramm wspominał o idei państwa narodowego – to również wynalazek wieku XIX. Świat XIX wieku niezwykle przyspieszył pod każdym względem. Obudził się także mocny instynkt życia u ludzi.

A demokracja? Demokracja w końcowych latach wieku XIX była bardzo mocna i wyrazista i w Europie, i w Polsce. Czy wtedy Polacy coś oryginalnego wnieśli do myśli demokratycznej Europy? Tak, a nie aż tak dużo i nie jest to szczególnie dostrzegane i doceniane w Europie. W pierwszej połowie XIX wieku Polscy demokraci wnieśli to, co jest dostrzegane.

Francja w fazie dojrzałej, bo już za czasów Napoleona jako pierwszego konsula, stworzyła ideę narodu suwerennego: to naród decydował, jaka będzie władza. Bez idei narodu suwerennego nie byłoby ani dzisiejszej debaty, ani naszego spotkania, ani współczesnej Europy. Odchodziła Europa, której suwerenem był panujący. Patrzył w niebo i mówił: „Tam jest moja władza, stamtąd ta władza nadeszła i ja się nie muszę rozliczać, nie muszę z nikim dzielić swojej władzy”. Pod koniec XVIII wieku sformułowano ideę partycypacji społecznej wszystkich ludzi, niezależnie od tego, z jakich warstw się wywodzą. Z ideą suwerennego narodu, który decyduje o tym, jaka będzie władza, wiąże się idea równości wszystkich wobec prawa. Skoro bowiem naród jest suwerenem, ma

prawo decydować, to nie podział stanowy staje się tutaj podmiotem. Trzeba go zlikwidować. Nie ma szlachty, nie ma chłopów, mieszczan, duchowych – wszyscy jesteśmy równi wobec prawa. Dopiero to pozwoliło na sformułowanie w konstytucjach trójpodziału władzy. Pozwoliło na realizację idei wolności politycznych, początkowo ograniczonych do sumienia i wyznania. Kolejne wolności: słowa, druku itd., pojawiają się wraz z rozwojem demokracji i idei demokratycznych.

W Polsce około 1800 roku Legiony miały nieść wolność ojczyźnie i tę wolność legioniści nieśli. Jednocześnie jednak wbrew sobie zabierali wolność tym, którzy ją chcieli mieć: Hiszpanii czy dzisiejszemu Haiti. To smutne przykłady, ale tak również było. Legiony to naprawdę szczerze demokratyczna formacja. Każdy w nich mógł awansować, szeregowiec mógł zostać oficerem. Możliwa była normalna rozmowa między oficerem a szeregowcem. Legioniści byli dziećmi swojego czasu, żyli tak, jak epoka proponowała, w myśl zasady, że ludzie wolni są braćmi. Oni byli wolni u siebie, w swoim sumieniu i te idee wnieśli później do Europy.

Kolejna faza polskiej demokracji, już dojrzałej, to są lata trzydzieste XIX wieku, demokracja romantyczna. Wspomniano o idei narodu. O tym, że tak naprawdę naród jest stworzony przez wiek XIX, bo szlachta była tylko narodem w rozumieniu polityczno-prawnym. Proszę, żeby zechcieli państwo zwrócić uwagę na słowa polskiego hymnu narodowego, który powstał, kiedy utworzono i walczyły Legiony: „Przejdziem Wisłę, przejdziem Wartę, będziem Polakami”. Uważano, że aby być narodem, trzeba mieszkać na konkretnym terytorium. Byli Francuzi, bo mieli Francję. Byli Włosi? Nie, nie było Włochów, bo nie było Włoch. Był naród angielski, bo była Anglia. Byli Belgowie? Nie było Belgów, bo nie było Belgii. Naród był zatem związany z określonym terytorium.

Dopiero później stopniowo sformułowano odważną tezę, że naród może istnieć poza państwem. Może znakomicie działać i lepiej się rozwijać niż w ramach państwa. Polacy mieli kapitalny udział w tworzeniu idei nowoczesnego narodu – polscy romantycy, wieszczowie, historycy. Romantycy szukali takiej argumentacji, żeby na emigracji żyło im się lepiej.

Druga polska idea – bo Polacy są wynalazcami idei bardzo znanej i głośniejszej,

która doprowadziła do powstania „Solidarności – to idea: „za naszą i waszą wolność”, która się wtedy pojawiła. Polacy nie chcą o tym pamiętać, ale inni pamiętają, że to ustawiało polskich demokratów wobec Europy. Byliśmy skazani na działanie wraz z innymi w obronie naszych polskich narodowych wartości. Naród jest bowiem suwerenem. Polacy rozumieli, że mamy prawo do bycia krajem suwerennie niepodległym.

Przeegraliśmy powstanie listopadowe, ale ci, którzy pojechali na emigrację, byli ludźmi spełnionymi. Czy polscy demokraci coś wygrali w sensie politycznym? Nie bardzo, nie mieli szans, żeby cokolwiek wielkiego stworzyć, może z wyjątkiem epizodycznego udziału w Wiośnie Ludów. Wszędzie tam, gdzie byli, okazywali się jednak skuteczni, najczęściej zostawali oficerami, choć nie naczelnymi wodzami.

Gdzie natomiast osiągnęli sukces? Na rynku matrymonialnym Europy. Wtedy być Polakiem znaczyło być człowiekiem sukcesu. Najlepsze partie Europy ubiegały się o polskich demokratów. Można im tego zazdrościć. Polacy naprawdę wygrywali to, co było nie do wygrania. Przez demokratyczną Europę, Europę kochającą wolność Polscy powstańcy byli traktowani jak wojownicy, jak ucieleśnienie buntu, nadziei, miłości i wolności. Nawet na tych, którzy emigrowali jako inwalidzi, czekały najpiękniejsze i najzamożniejsze panny w Niemczech, we Francji. Nie wszyscy, oczywiście, z tego korzystali.

Co jeszcze dała nam Europa? Włosi mówili do Polaków: „My was bardzo kochamy, wyjdziemy na ulicę, założymy stroje krakowskie, łowickie, będziemy chodzili po Rzymie i demonstrowali, jak was bardzo wielbimy, jak was bardzo kochamy”. Trwało to krótko. Przymierzyli te stroje krakowskie, łowickie, ale w zasadzie niewiele się z tego narodziło. Żeby przekonać, jak bardzo nas kochają, szanują, wielbią, Francuzi i Włosi byli nawet gotowi jeść coś niegodnego Francuza czy Włocha, na przykład bigos, schabowy. To były manifestacje przyjaźni do polskiej demokracji.

Tak wyglądała fascynacja polską demokracją, bo działało Towarzystwo Demokratyczne Polskie. Polacy byli nie tylko gośćmi wspaniałych mieszczańskich domów i pałaców, ale również tworzyli, dawali coś nowego myśli europejskiej. W książkach poświęconych demokracji europejskiej aż roi się od polskich

nazwisk. Ciekawe, że są mało znane w Polsce, ale to taka polska cecha, iż nie wszystko, co jest sukcesem za granicą, w Polsce traktuje się jako sukces. To kolejny dowód na to, że trochę za mało dbamy o nasze narodowe interesy.

Wspominałem o tym epizodzie z lat 1848–1849. Rzeczywiście, zwłaszcza w 1849 roku Polacy byli na barykadach Europy. Wiosna Ludów przegrała po to, żeby wygrać. Po 1849 roku nastąpiło uwłaszczenie w Europie Środkowo-wschodniej i ostateczna likwidacja poddaństwa, bez tego nie ma mowy o tworzeniu państw narodowych.

Stopniowo zaczęła się era liberalizacji w Europie, upowszechnienia idei liberalnej. Liberalowie doszli do władzy, demokraci jeszcze nie. Dzięki liberalnemu prawu następowała coraz większa partycypacja ludzi w polityce i w życiu publicznym. Francuscy demokraci i republikanie wymyślili powszechne głosowanie. Dopięli swego w czasie Wiosny Ludów z 1849 roku. Wprowadzili powszechne głosowanie, licząc, że jak lud pójdzie do wyborów, to ich uwiarygodni. Lud poszedł do wyborów i demokraci przegrali z kretelem. Lud wybrał Napoleona, wprawdzie III, ale zawsze Napoleona. Od tego momentu demokraci bardzo się bali powszechnego głosowania. Nawet socjaliści mówili, że na głosowanie kobiet jest zdecydowanie za wcześnie.

Dopiero pod koniec XIX wieku demokracja europejska zaczęła się rozwijać w trzech nurtach. Jeden, znany do dzisiaj, to demokracja liberalna. Liberalowie, a jednocześnie demokraci wolno, wolniutko dążyli do rozwoju idei państwa demokratycznego, parlamentaryzmu i udziału, ale stopniowego, mężczyzn w męskiej polityce.

Pojawili się socjalni demokraci, zwani socjalistami – później niektórzy z nich zostaną komunistami, ale to już w zupełnie innej epoce. Część stanie się częścią tego wolnego, czyli socjaldemokratycznego świata. Pojawiła się socjalna demokracja. Do polityki w coraz większym zakresie byli wprowadzani robotnicy. Podobnie działo się w Polsce. Mieliśmy przecież i Daszyńskiego, i Piłsudskiego. Oni obaj uważali, że to są znaki polskiej demokracji, iż trzeba wprowadzać do polityki robotników, rzemieślników, chałupników. Niech w niej będą, niech trenują, niech będą z nami, niech się uczą tej demokracji bezpośrednio.

Wreszcie pojawiła się trzecia demokracja, narodowa demokracja, która

stała się nacjonalizmem. Funkcjonowały zatem trzy demokracje: słabnąca liberalna, coraz potężniejsza, również w Polsce, socjalna demokracja i bardzo mocna, momentami w wielu krajach dominująca, narodowa demokracja, czyli nacjonalizm. Tak to wyglądało w 1914 roku.

Czy jednak w 1914 roku była Polska i była demokracja? Polska została rozparcelowana. Europa nie stała się jeszcze demokratyczna. Wyjątki to Francja, Portugalia, kiedy po rewolucji demokratycznej 1910 roku wprowadzono nawet poligamię, żeby udowodnić, że Portugalczycy są demokratami. To w zasadzie wszystko.

Były kraje liberalne, gdzie funkcjonował liberalizm z elementami demokracji, jak Austro-Węgry, czy też liberalna, ale nie demokratyczna, przynajmniej nie do końca, Wielka Brytania. Ona stała się demokratyczna dopiero po pierwszej wojnie światowej, ale Wielka Brytania zawsze siebie kontrolowała. Rosja tkwiła w połowie drogi między autokratyzmem a liberalizmem. Pamiętajmy, Rosja po rewolucji już nie była krajem autokratycznym, ale w połowie liberalnym. W 1914 roku nie było więc prawie krajów demokratycznych. Autokratyczna Turcja też się zmieniała. Imperium osmańskie szło w kierunku liberalizmu, zgodnie ze wskazaniem narodowej demokracji, bo tam też rządzący nacjonalistami, narodowi demokraci.

Potrzebna była pierwsza wojna światowa, by wyrównać rachunki krzywd, jak mówił jeden z polskich poetów. Doszło do rzezi monarchów, dosłownie i w przenośni. Dopiero po wojnie, pod jej koniec, w pełni demokratyczne idee republikańskie zwyciężyły. O tym będzie jednak mówił kolejny mówca.

Dziękuję uprzejmie.

Prof. dr hab. Tomasz Schramm

Uniwersytet Adama Mickiewicza w Poznaniu

Dziękuję bardzo, Panie Profesorze.

Po tym, jak profesor Mikulski przedstawił to, co było szczególne, pan profesor Chwalba z ogromnym ogniem mówił o tym, co się upowszechniało, w czym Polacy mieli swoje miejsce. Mam wrażenie, że ta pasja była pasją agitacji za pamięcią historyczną, przechowującą różne wartości, włącznie z bigosem.

Zgodnie programem i zapowiedzią profesora Chwalby kolejny referat:

„Wkład polskiej demokracji parlamentarnej w tworzenie fundamentów odrodzonego państwa polskiego” wygłosi pan profesor Włodzimierz Mędrzecki.

Prof. dr hab. Włodzimierz Mędrzecki

Instytut Historii Polskiej Akademii Nauk

Panie Marszałku! Szanowni Państwo!

Niestety, nie mam łatwego zadania, muszę troszkę dotknąć polskiego piekielka. Będę mówił o pierwszych latach Polski odrodzonej, które – jak państwo doskonale wiedzą – są do dziś przedmiotem ostrych dyskusji. Mój głos będzie formą w niej udziału.

Polski parlamentaryzm lat 1919–1926 nie cieszył się najlepszą opinią. Negatywnie o polskim modelu ustrojowym i o praktyce życia publicznego wypowiedział się nie tylko Józef Piłsudski, ale także czynili to jego przeciwnicy polityczni – Roman Dmowski i Wincenty Witos. Parlament, partie polityczne były oskarżane o rozmaite przekręty, nadużycia. Dochodzące ze wszystkich stron sceny politycznej głosy krytyki „sejmokracji” i „partiokracji” nie mogły nie wpływać na postawy szerokich warstw społecznych, zwłaszcza wobec ogromnych nadziei, jakie powszechnie towarzyszyły pierwszym miesiącom i latom budowy własnego państwa. W mediach i w dyskursie potocznym „poseł” znaczyło mniej więcej tyle, co „krętacz” i „aferzysta”. Powszechne rozczarowanie liberalnym „partiparlamentaryzmem” można uznać za jeden z ważnych czynników umożliwiających sukces przewrotu majowego. Po zamachu majowym Piłsudski i jego współpracownicy pracowali nad utrwalaniem negatywnego obrazu „sejmokracji”, po której nowe rządy musiały sprzątać i dokonywać sanacji wszystkich dziedzin życia publicznego.

„Czarna legenda” polskiego parlamentaryzmu okazała się niezwykle przydatna aparatowi propagandowemu powojennej Polski. Powielala ją także niemała część historyków aktywnych po drugiej wojnie światowej i w kraju, i na emigracji, po dziś kultywuje ją także niemała grupa badaczy. Podręczniki szkolne również ukazywały i ukazują świat polityki polskiej lat 1918–1926 jako przestrzeń dla anarchii, której ofiarą padła szlachetna postać Gabriela Narutowicza, a kres mogły temu położyć jedynie rządy silnej ręki.

Obecnie jednak, kiedy polityczne spory okresu międzywojennego dawno

już ucichły, a do tego jesteśmy bogatsi o doświadczenia budowy suwerennego państwa po 1989 roku, potrzebne wydaje się ponowne spojrzenie na te sprawy oraz próba odpowiedzi na pytanie o dorobek i ocenę polskiego parlamentaryzmu tego okresu.

Chciałbym zwrócić uwagę na kilka zjawisk, które, wydaje mi się, zbyt rzadko były i nadal są brane pod uwagę przy dokonywaniu bilansu polskiego życia publicznego pierwszych lat niepodległości. Za pierwsze i szczególnie ważne chciałbym uznać to, że wyłaniany w wyborach parlament, zarówno Sejm Ustawodawczy z 1919 roku, jak i Sejm pierwszej kadencji, wybrany w 1922 roku, stanowiły odbicie rzeczywistego zróżnicowania społeczeństwa II Rzeczypospolitej pod względem narodowościowym, społecznym, politycznym, cywilizacyjnym, światopoglądowym i mentalnym. Sejm Ustawodawczy wybrany został po raz pierwszy w wyborach powszechnych, z udziałem kobiet – tu II Rzeczpospolita wprowadziła nas do nowoczesności – a także w kolejnych wyborach uzupełniających na ziemiach przyłączanych do państwa polskiego. Znaleźli się więc w nim posłowie do parlamentów państw należących wcześniej do zaborców. Ten parlament w momencie rozwiązania liczył 423 posłów. Znaleźli się w nim, oprócz zawodowych polityków o wieloletnim stażu parlamentarnym, także polityczni nowicjusze, obok profesorów uniwersyteckich była też grupa kilkunastu analfabetów. Monarchiści dzielili miejsca z nacjonalistami, radykalnymi socjalistami, a nawet komunistami. W konstytuancie, o czym stosunkowo rzadko mówimy, znajdowali się nie tylko Polacy, ale było także dziewięciu Żydów i dwóch Niemców.

Skład obu izb parlamentu pierwszej kadencji, wybranego na mocy bardzo demokratycznej, a co jeszcze ważniejsze, proporcjonalnej ordynacji wyborczej, niemal wiernie odzwierciedlał zróżnicowanie polityczne, społeczne, wyznaniowe i narodowościowe społeczeństwa II Rzeczypospolitej. Oczywiście, niezwykle utrudniało to wyłanianie większości parlamentarnej i zawieranie kompromisów. Z całą mocą należy jednak podkreślić, że owo zróżnicowanie nie wynikało ze szczególnych cech charakteru czy wad moralnych parlamentarzystów, ale z faktu, iż reprezentowali bardzo zróżnicowane interesy realnych sił społecznych. Trzeba też dodać, że jedynym sposobem skonstruowania parlamentu składające-

go się wyłącznie z sił państwowo-twórczych byłoby ewentualnie wprowadzenie ordynacji wyborczej podobnej do tej, jaka obowiązywała w Polsce w 1935 roku. Czy jednak ten drugi parlament stał się stosowniejszą odpowiedzią na potrzeby państwa i społeczeństwa polskiego? Można mieć wątpliwości.

Druga ważna, moim zdaniem, teza. Parlament pierwszych lat okresu międzywojennego był najważniejszym forum publicznej debaty na temat spraw podstawowych dla państwa i społeczeństwa. Postulaty najważniejszych ugrupowań politycznych zostały jasno określone, także w kampanii wyborczej. Opinia publiczna mogła śledzić na bieżąco zarówno spory, jak i sposoby wypracowywania kompromisów, które były warunkiem powstawania większości parlamentarnej. Szczególnie uwidocznilo się to w czasie prac nad konstytucją, uchwaloną ostatecznie 17 marca 1921 roku. Mimo bardzo wielu różnych koncepcji dostrzegania podstawowych kwestii prawnych i ustrojowych udało się doprowadzić do kompromisu, którego efektem stało się uchwalenie ustawy zasadniczej, spełniającej podstawowe wymagania, stawiane konstytucji nowoczesnego państwa demokratycznego.

Po trzecie, ład parlamentarny pierwszych lat niepodległości był wielką szkołą kultury życia publicznego II Rzeczypospolitej. Powszechne wybory, poprzedzone swobodną kampanią, miały frekwencję, o której my obecnie możemy jedynie pomarzyć. Burzliwa debata polityczna w parlamencie była szeroko propagowana i komentowana przez prasę. Partie polityczne starały się na rozmaite sposoby przekonywać opinię publiczną do swego stanowiska nie tylko za pośrednictwem słowa drukowanego, ale także poprzez wystąpienia posłów i senatorów „w terenie”. Bezpośredni kontakt z tymi, którzy tworzą prawo i kontrolują rząd, był niezwykle ważnym czynnikiem, zachęcającym obywateli do uczestnictwa w życiu publicznym również na co dzień. Nie było innego ustroju, innego modelu życia publicznego, który mógłby zapewnić tak czynny udział szerszej publiczności w życiu publicznym.

Po czwarte, parlament w latach 1919–1926 stanowił rzeczywisty ośrodek najwyższej władzy państwowej. To w gmachu parlamentu zapadały decyzje o najwyższym znaczeniu dla państwa, obywateli, z reguły w wyniku ostrych sporów i dyskusji, zwykle prowadzących jednak do kompromisu. Dobrym przykła-

dem może być reforma rolna, omawiana od pierwszych dni obrad Sejmu Ustawodawczego. Ustawę uchwalono w 1920 roku. Sprawę reformy parlament sfinalizował, w sensie stworzenia do niej aktów wykonawczych, z inicjatywy Władysława Grabskiego w roku 1925. Wszelkie polityczne ustalenia związane z tą reformą, łącznie ze słynnym paktem lanckorońskim, powstawały w wyniku gry parlamentarnej, a nie zakulisowych działań sił, które funkcjonowały poza normalnymi instytucjami politycznymi. Wydaje się, że w wypadku młodego państwa zgodność zasady kompetencji i odpowiedzialności władzy może być uznana za wartość niezwykle ważną.

Po piąte, parlament wielokrotnie dowiódł swej zdolności do zapewnienia stabilizacji państwa polskiego, zwłaszcza w sytuacjach kryzysowych. Na przykład w roku 1920, kiedy niezależnie od podziałów politycznych powołano Radę Obrony Państwa, w skład której weszli przedstawiciele wszystkich większych klubów parlamentarnych. Parlament wykazał się też bardzo odpowiedzialną postawą w roku 1922, po śmierci Gabriela Narutowicza. Między innymi dzięki determinacji marszałka Sejmu udało się rozładować napięcie. Należy bardzo wysoko ocenić także postawę parlamentu w roku 1923, w czasie wielkiego kryzysu politycznego i wydarzeń krakowskich, w wyniku których było kilkadziesiąt ofiar śmiertelnych. Wreszcie, postawa marszałka Sejmu w 1926 roku, w obliczu zamachu majowego i po nim, zasługuje na najwyższe uznanie. Można oczywiście podkreślić, że to nie parlament, ale sam Maciej Rataj zdecydował o sukcesie. Pamiętajmy jednak, że po raz pierwszy znalazł się on na sali obrad parlamentu właśnie pierwszego dnia funkcjonowania Sejmu Ustawodawczego, był jego nieodrodnym synem. To kwestia bardzo dyskusyjna, ale można uznać, że także rządy powoływane z inicjatywy parlamentu w latach 1919–1926 po bliższej ocenie zasługują na znacznie lepszą opinię niż ta, jaką przedstawiali propagandiści, uzasadniający potrzebę dokonania przewrotu politycznego i wprowadzenia rządów silnej ręki. Dość powiedzieć, że do przewrotu majowego szczególnie wybijają się trzy gabinety, to znaczy Ignacego Paderewskiego, rządzący przez prawie rok, Wincentego Witosa – 14 miesięcy w 1921 roku i Władysława Grabskiego, funkcjonujący ponad półtora roku. Te trzy rządy wykonały podstawowe zadania stabilizujące aparat państwowy, przeprowadziły kraj przez długi okres wojny.

Rząd Paderewskiego dokonał reformy Grabskiego, przywracającej dobry stan finansów państwowych.

Po szóste, nie sposób przecenić dorobku ustawodawczego konstytuandy i parlamentu pierwszej kadencji. Stworzyły one bardzo solidne prawno-ustrojowe podstawy niepodległego państwa polskiego. Należy podkreślić, że oprócz aktów wielkiej wagi, takich jak konstytucja, fundamenty prawne państwa to także setki innych ustaw, pozornie o małym znaczeniu, ale regulujących wielkie obszary życia publicznego. Dość powiedzieć, że Sejm Ustawodawczy, który odbył 342 posiedzenia między lutym 1919 a listopadem 1922 roku, może być uznany za instytucję niezwykle pracowitą. W czasie tych 342 posiedzeń uchwalił łącznie 571 ustaw. Wśród nich znalazła się zarówno tak zwana mała konstytucja z lutego 1919 roku, jak i konstytucja marcowa. Te ustawy umożliwiły budowę i funkcjonowanie kolejnych dziedzin życia odrodzonego państwa, poczynając od administracji, poprzez system edukacji po rozbudowę wojska.

Dzieło konstytuandy kontynuował Sejm pierwszej kadencji. Do momentu zamachu uchwalił on kolejnych 445 ustaw, wśród nich na przykład pakiet Władysława Grabskiego, ustawę o służbie wojskowej i o wykonaniu reformy rolnej, o Trybunale Stanu, Trybunale Konstytucyjnym, czy choćby, pozornie mniej ważną, ustawę o ochronie wynalazków. Warto też dodać, że właśnie Sejm pierwszej kadencji w 1904 roku uchwalił po raz pierwszy całoroczny budżet państwa. Wcześniej – z powodu braku stabilnego systemu finansowego, a potem inflacji – było to niemożliwe.

Spośród zarzutów wysuwanych pod adresem polskiego parlamentaryzmu lat 1919–1926 trzy formułowane są szczególnie często. Pierwszy mówi o tym, że parlament był nieefektywny, posłowie, zamiast uchwalać potrzebne ustawy i porozumiewać się w sprawach dla państwa ważnych, kłócili się, rzucali sobie kłody pod nogi, stosowali obstrukcję parlamentarną, czas spędzali raczej w restauracji i w bufecie sejmowym niż na sali obrad. Drugi zarzut, formułowany jednocześnie, określał parlamentarzystów i ugrupowania parlamentarne jako osoby i instytucje bezideowe, realizujące głównie swoje własne interesy i gotowe do każdego politycznego handlu, zawierania przedziwnych kompromisów, a nawet do zdrad własnych ideałów. Zwracam uwagę, że oba te zarzuty znoszą się wzajemnie, a

poza tym wydają się, przynajmniej na podstawie znajomości i źródeł epoki, zdecydowanie na wyrost.

Jeśli chodzi o efektywność, starałem się krótko ukazać dorobek pierwszych lat niepodległości. Zwłaszcza z perspektywy naszych doświadczeń po 1989 roku można go uznać za imponujący. W odniesieniu do drugiego oskarżenia trzeba natomiast zwrócić uwagę, że kompromis, czasem nawet daleko idący, należy do istoty gry parlamentarnej. Siłą rzeczy, musiały być zatem sytuacje, kiedy posłowie Narodowej Demokracji głosowali razem z Polską Partią Socjalistyczną. Oczywiście, ludzie nie są i nie będą aniołami, nie trzeba tego uzasadniać.

Jak starałem się pokazać, parlament był ciałem o bardzo zróżnicowanym składzie. Na jego forum rozstrzygały się sprawy najważniejsze dla państwa i społeczeństwa. Siłą rzeczy, parlament stał się przestrzenią nieustannych sporów, konfliktów, a czasem nawet bardzo burzliwych starć. Oczywiście, że dla publiczności i prasy, która zajmowała się bieżącym prezentowaniem tego, co się w parlamencie dzieje, bo to najważniejsze miejsce w Polsce, najciekawsze okazywały się informacje, czy nawet plotki dotyczące prawdziwych bądź urojonych afer, intryg politycznych, sensacji. Mniej interesujące zaś wydawały się relacje z rutynowej pracy w czasie posiedzeń plenarnych i komisji. Myślę, że to się nie zmieniło.

Wszystko to sprawiało, że w miarę, jak upływały miesiące i lata od „wybuchu niepodległości”, szerokie warstwy społeczeństwa z coraz większą niecierpliwością oczekiwały realnych „efektów uzyskania” własnego państwa. Coraz częściej i chętniej dawano posłuch ponadczasowemu populistycznemu hasłu, że ci w Sejmie kłócą się o wszystko zamiast sprawnie załatwiać sprawy najważniejsze dla ludzi.

Trzeci, ostatni zarzut pod adresem ówczesnego parlamentaryzmu wydaje się najważniejszy. Powtarzany jest zresztą do dziś. Mówi się, że konstytucja marcowa była aktem niedostosowanym do polskich realiów społecznych, politycznych i cywilizacyjnych, dokumentem tworzonym ze szlachetnymi intencjami, ale ostatecznie przynoszącym więcej szkód niż pożytku. W domyśle, bo głośniej nie wypada tak mówić, można dodać, że społeczeństwo polskie nie dorosło do europejskich standardów demokratycznych, a właściwym dlań garniturem

byłaby łagodna forma dyktatury, która powoli wychowywałaby społeczeństwo dla przyszłej, prawdziwej demokracji.

Polemizując, trzeba otwarcie postawić pytanie, czy konstytucja Polski odrodzonej miała wprowadzić nierówność praw różnych grup obywateli choćby ze względu na narodowość, wyznanie czy wykształcenie, na przykład odbierając prawa wyborcze analfabetom?. Wydaje się, że zamiast krytykować niedostosowanie konstytucji marcowej do realiów warto na nią spojrzeć jak na deklarację intencji twórców odrodzonego państwa polskiego. Jak na drogowskaz wskazujący kierunek kolejnych, bardziej szczegółowych rozstrzygnięć prawno-ustrojowych w następnych latach niepodległości. Wydaje się, że Stany Zjednoczone Ameryki Północnej, których obywatele tak właśnie traktowali i traktują swoją ustawę zasadniczą, wychodzą na tym całkiem nieźle i znacznie lepiej niż my, nieustannie krytykujący naszą konstytucję z marca 1921 roku.

Dziękuję bardzo.

Prof. dr hab. Tomasz Schramm

Uniwersytet Adama Mickiewicza w Poznaniu

Dziękuję, Panie Profesorze.

Myślę, że bardzo wartościowe okazało się przypomnienie tego, iż to nasze doświadczenie parlamentarne sprzed 1989 roku było niedługie i niełatwe, ale miało swoje niewątpliwe walory.

Proszę Państwa, zachęcam do zabrania głosu w dyskusji. Informuję, że przebieg naszego zebrania jest utrwalany, żeby te słowa nie uleciały. W związku z tym wszystkie osoby zabierające głos są proszone o pojawianie się tu, na mównicy, i o przedstawianie.

Dr Wojciech Orłowski

Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie

Dzień dobry. Nazywam się Wojciech Orłowski, jestem pracownikiem Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej. Dziękuję panu marszałkowi za zaproszenie. Trochę z obawą tu występuję, ponieważ nie jestem historykiem, ale prawnikiem.

Z niekłamaną satysfakcją i zainteresowaniem wysłuchałem tych wspianych referatów. Z jedną tezą pana profesora Mędrzeckiego chciałbym jednak polemizować. Pan profesor był łaskaw powiedzieć, że intencją twórców Sejmu

Ustawodawczego stało się to, żeby był on wielonarodowościowy. Chciałbym z tym polemizować. Gdybyśmy bowiem spojrzeli na kształt ordynacji, szczególnie po zmianach, które nastąpiły w roku 1918, to można powiedzieć, że miała to być przede wszystkim reprezentacja Polaków. Widać to głównie dlatego, iż uznano mandaty Polaków – polskich posłów do parlamentu pruskiego i austro-węgierskiego. Jeżeli popatrzyć na ordynację wyborczą, to okaże się – jak zresztą napisał pan profesor Ajnenkiel w swoim doskonałym opracowaniu – że była to ordynacja, która na przykład nie zakładała wyborów w Białymstoku. Zgodnie z podziałem na okręgi wyborcze nie przewidziano tam ani jednego mandatu, w związku z tym było to uzasadnione. Chyba jedną z wad tych regulacji z lat 1918–1919 stanowiło właśnie to, że reprezentacja innych narodowości okazała się niewielka. Można wspomnieć, że razem z wyborami do Sejmu Ustawodawczego odbyły się uzupełniające wybory do parlamentu austro-węgierskiego. Ubiegano się o dwa mandaty Polaków, którzy stracili życie w walkach o Lwów.

Jeżeli natomiast chodzi o kwestię związaną z ordynacją wyborczą do Sejmu Ustawodawczego, to wydaje mi się jednak, że rozwiązania w niej przyjęte były już pewną recepcją rozwiązań stosowanych w Europie w tamtym okresie. Gdy przeanalizować projekt ordynacji wyborczej, zaakceptowany następnie przez naczelnika państwa, to okazuje się, że właściwie był on wynikiem wcześniejszych prac Rady Regencyjnej. Ona również zakładała „pięcioprzymiotnikowe” prawo wyborcze. Nie optowała za przyznaniem praw kobietom, gdyż uznawano, że nie będą one mogły ich wykorzystywać ze względu na spory stopień analfabetyzmu wśród nich w byłym Królestwie Polskim.

Uważam, że zupełnie nieuzasadniona jest rzeczywiście teza o „sejmokracji” w okresie omawianym przez pana profesora. Porównałbym nawet ówczesną ordynację z obecnie obowiązującą. Gdyby przyjąć te same standardy dotyczące proporcjonalności w obecnej ordynacji i w ordynacji z okresu obowiązywania konstytucji marcowej, to można by powiedzieć, że wtedy okręgi wyborcze były mniejsze, a więc zapewniały większą konsolidację polityczną. Dałoby się też zaobserwować, że o braku zdolności koalicyjnej nie decyduje prawo wyborcze.

Dziękuję państwu bardzo.

Prof. dr hab. Tomasz Schramm

Uniwersytet Adama Mickiewicza w Poznaniu

Dziękuję, Panie Doktorze.

Jak sądzę, pan profesor odniesie się do tego, ale pod koniec naszego spotkania, podobnie jak inni referenci.

Pan profesor Tazbir prosił o głos. Proszę bardzo

Prof. dr hab. Janusz Tazbir

Panie Marszałku! Szanowni Państwo!

Chciałbym możliwie krótko poruszyć kilka kwestii. Wydaje mi się, że doświadczenia i osiągnięcia demokracji szlacheckiej, nie ma co ukrywać, zagrały pełnym blaskiem dopiero w XIX wieku, i to zarówno od strony dodatniej, jak i ujemnej. W przeciwieństwie przede wszystkim do Rosji, a już nie mówię o takich krajach jak Prusy, opozycja polityczna była w dawnej Polsce cnotą obywatelską i powinnością, a nie zbrodnią. W Rosji natomiast była uważana za przestępstwo. Nie jest rzeczą przypadku, że winnych tej opozycji wsadzano do szpitali wariatów lub do tak zwanych psychuszek w okresie radzieckim. Uważano bowiem, że tylko wariat może się porywać na władzę, dlatego w Związku Radzieckim afera *Watergate* była zupełnie wytłumiona. Zdanie, że wykryto nielegalny podsłuch w kwaterze opozycji, brzmiało tam pusto i buntowniczo. Opozycja jest nielegalna. Jeżeli władza zna kwaterę główną opozycji, to powinna ją zlikwidować, a nie po prostu zakładać jakieś nielegalne podsłuchy.

Sprawa druga to okres rewolucji francuskiej. Kiedy zaczęto tłumaczyć broszury francuskie na polski czy je parafrazować, wydawało się to strasznie łatwe. Zawartą tam terminologię: „obywatel”, „prawo do wolności”, „prawo do oporu wobec tyrańcy”, u nas już znano. Przecież przy burzeniu Bastylii, co tu ukrywać, byli obecni późniejsi czołowi przywódcy Targowicy, którzy się strasznie cieszyli, że wreszcie zburzono gmach, gdzie tyran śmie więzić wolną szlachtę.

Nie zgodziłbym się z tezą, że byliśmy przedmiotem kultu i uwielbienia w całej Europie. Uważano nas za nieudaczników Europy, która się bez nas doskonale przez wiek XIX obywatela. Doszło do tego, o czym mało kto wie. Kiedy Juliusz Verne złożył swoje powieści „Tajemnicza wyspa” i „Dwadzieścia tysięcy mil podmorskiej żeglugi” – o kapitanie Nemo, to okazało się, że kapitan Nemo pierwotnie był Polakiem, który się mścił za krzywdy Powstania Styczniowego.

Wydawca powiedział, że będą interwencje ambasady rosyjskiej, wobec tego autor zmienił go na Hindusa.

Wiek XIX rozpuścił nas pod jednym względem. Nigdy w historii, aż po wiek XX i XXI, po wielkich wydarzeniach historycznych nie powstały tak szybko arcydzieła literatury. Teraz się wszyscy domagają, dlaczego nie ma arcydzieła o Powstaniu Warszawskim, już tyle czasu upłynęło?. To przecież jedyny wypadek w dziejach, kiedy wielcy tego świata zajęli się naszą narodową klęską.

Mówi się o Konstytucji 3 maja bardzo pozytywnie, ale można też zająć się tą kwestią od strony mniej dodatniej. Henryk Rzewuski, który konstytucji nienawidził, napisał, że wszyscy ją chwala, chociaż nikt jej nie czytał, „lubo ona wcale gruba nie jest”. Proszę Państwa, w tej konstytucji jest zakaz apostazji, przeniesiony z konstytucji z roku 1668, dlatego że wtedy został uchwalony pod naciskiem kontrreformacji. Miał zapobiec dalszemu przechodzeniu na inne wyznania. Żeby było zabawniej, ten zakaz apostazji do konstytucji wstawił Stanisław August Poniatowski, Europejczyk i wielki szermierz tolerancji. Bał się bowiem, że jeżeli nie będzie tego zakazu, to chłopcy ruscy, którzy dotychczas wyznawali grekokatolicyzm, zaczną masowo przechodzić na prawosławie. Stanisław August pod koniec życia żywił zresztą marzenie, że dojdziemy do porozumienia z Rosją. Mówił, iż za 25 lat w całej Polsce nie będzie nikogo innego, tylko Polacy, wyznający katolicyzm i mówiący po polsku. Zresztą przypomnę, że konstytucja miała być co 25 lat poprawiana. Tymczasem 25 lat po jej uchwaleniu wszyscy poszli do kościołów w Warszawie, żeby wysłuchać hymnu „Boże, coś Polskę”, sławiącego „Anioła pokoju Aleksandra I”.

Dziękuję bardzo.

Prof. dr hab. Henryk Samsonowicz

Panie Marszałku! Szanowni Państwo!

Chciałbym omówić trzy sprawy. Pierwsza dotyczy referatu profesora Mikulskiego. Wydaje mi się, że istnieje pewien paradoks. Ta Polska –powiedzmy sobie szczerze – stanowiąca peryferie kultury europejskiej, stworzyła w XVI wieku, właśnie w dobie Rzeczypospolitej Obojga Narodów, model, do którego w tej chwili może się odwoływać zjednoczona Europa. Model wieloetnicznego, wielojęzycznego, wieloreligijnego tolerancyjnego państwa. Chciałbym tutaj

przypomnieć o konfederacji warszawskiej. Z pewnymi wyjątkami dawała równouprawienie wszystkim wyznaniom. Przecież to model, który w tej chwili dominuje, przynajmniej w projektach, w Europie zjednoczonej.

Druga rzecz. Jestem pod wrażeniem wystąpienia profesora Chwalby. Muszę powiedzieć, że chciałbym mu podsunąć jeszcze jedną uwagę – tutaj polemika z moim znakomitym kolegą i przyjacielem Januszem Tazbirem. Czy rzeczywiście w wieku XIX Polska była traktowana jako zbiór nieudaczników w ówczesnej Europie? Jak wobec tego wytłumaczyć, co jest faktem zupełnie wyjątkowym w dziejach powszechnych, że społeczeństwo bez własnego państwa, bez własnych praw, własnego wojska, własnych uczelni było w stanie polonizować dziesiątki, setki, tysiące ludzi z wielu krajów, w tym również zaborczych?

Proszę nie traktować tego jak odwoływania się do niewłaściwych przykładów. Skąd się jednak wzięło nazwisko profesora Schramma? Skąd się wzięło nazwisko profesora Bäckera? Nazwiska naszych wielkich, takich jak Eistreicher, von Winkler, znany pod pseudonimem Kętrzyński? Skąd tego typu ludzie, nie tylko z krajów niemieckojęzycznych? Skąd Semadeni? Skąd Ferguson? Ze Szkocji. Skąd Taylor? Z Anglii. Powołując się na przykłady współczesne, skąd Szerebietiew? Camus był patriotą Algierii, ale jako patriota francuski. Już nie wspomnę o tych dziwnych przedstawicielach „czysto polskich” nazwisk, jak Hauke, Traugutt, którzy działali jako polscy patrioci.

Czy ta wyjątkowa zupełnie sytuacja nie jest – proszę nie traktować tego jako odwoływania się do innych autorytetów – potwierdzeniem tego, że „nie samym chlebem człowiek żyje”? Potwierdzeniem wartości, jaka wiązała się z okrzykami *Vive la Pologne!*, które wznosili ludzie znad Sekwany, niemający pojęcia, czy ta *Pologne* leży nad morzem Czarnym, czy Czerwonym? Nie wiedzieli w ogóle, gdzie to jest.

Trzecia uwaga, też dotycząca referatu pana profesora Chwalby. Chciałbym przeprowadzić małą polemikę. Na rynku matrymonialnym Polacy, a ściślej, Polki były cenione bardzo, bardzo wysoko od najdawniejszych czasów, od czasów, kiedy jeszcze Polski nie było w ogóle na mapie Europy. Zwracam uwagę na rozmaite relacje podróżników arabskich, które pokazują, jak dalece cenione były na rynkach bliskowschodnich nasze rodaczki, że już nie wspomnę o czasach

późniejszych. Księżna łowicka, pani Walewska, rozmaite inne wielkie przykłady patriotyzmu Polaków. Moim zdaniem, jeśli Wanda nie chciała Niemca, to nie dlatego, że nie odpowiadała jej emigracja na Zachód – ci Frankowie wschodni wówczas byli jednak cywilizacyjnie zacofani. Wanda po prostu miała pretensję, że nie proponuje się jej wyjazdu do Bagdadu albo do Damaszku, gdzie odegrałaby znacznie większą rolę.

Dziękuję bardzo.

Prof. dr hab. Henryk Rutkowski

Panie Marszałku! Szanowni Państwo!

Parę uwag na marginesie referatu profesora Mikulskiego. W referacie była mowa, w każdym razie tak jest w tym tekście powielonym, że król miał wyłączne prawo do mianowania urzędników. Z tego też wynikało, że skład Senatu w całości zależał od nominacji królewskich. Kandydatów na rzymskokatolickie stolice biskupie już od końca wieku XV również wyznaczał król Polski, a mianował ich, rzecz jasna, papież.

Parlamentaryzm polski przyczynił się do tego, że mamy stolicę w Warszawie. To nie wola któregoś z monarchów, w szczególności przywoływanego Zygmunta III Wazy, który zdecydował się przenieść stolicę państwa z Krakowa do Warszawy. To po prostu potrzeby polskiego parlamentaryzmu spowodowały, że po unii z Wielkim Księstwem Litewskim trzeba było znaleźć znacznie dogodniejsze nie tylko niż Kraków, ale również niż Piotrków miejsce odbywania sejmów. Dlatego wybrano wtedy Warszawę. Już w akcie Unii Lubelskiej zapisano, że wspólne sejmy polsko-litewskie będą się zbierać w Warszawie. Przeniesienie rezydencji królewskiej do tego miasta było tylko konsekwencją tamtej decyzji.

Sejmy od połowy wieku XVII często zrywano przez *liberum veto*. W XVIII wieku nieraz znajdowano na to lekarstwo – tworzone konfederację w sejmie, i tam już weto nie było dopuszczalne.

W czasach panowania Stefana Batorego trybunały przejęły sądownictwo apelacyjne z rąk króla. Trybunał koronny, dla całej Korony, odbywał sesję zimową w Piotrkowie, a letnią w Lublinie. Był też trybunał litewski. Zresztą w związku z trybunałami ostatecznie dawna Rzeczpospolita dzieliła się na trzy wielkie prowincje. Były to: Wielkopolska, obejmująca między innymi Prusy

Królewskie – czyli, mówiąc innym językiem – Pomorze Gdańskie, Małopolska, która sięgała od sejmu lubelskiego z 1569 roku aż na Zdobnieprze, i Litwa. Rzeczpospolita to było bardzo rozległe państwo.

Na koniec chcę powiedzieć o szczegółowym fakcie, do zaistnienia którego przyczynił się Sejm polski w roku 1582. Wtedy właśnie, po kilkuletnich pracach w Rzymie, papież zdecydował o wprowadzeniu nowego, poprawionego kalendarza, który miał usunąć rozbieżność pomiędzy czasem kalendarzowym, zapisanym w kalendarzach, a czasem astronomicznym. Ta rozbieżność, według ówczesnych badań, wynosiła 10 dni. Należało więc te 10 dni wyrzucić z ówczesnej rachuby kalendarzowej. Papież zdecydował, że bezpośrednio po 4 października 1582 roku nastąpi 15 października.

W Polsce, kraju bardzo rozległym, umiejętność czytania nie była powszechna, choć druk już stosowano. Wielki kłopot sprawiało jednak dostarczenie kalendarzy z Rzymu, bo te nowe kalendarze były drukowane tylko tam. Mimo półrocznego terminu na wprowadzenie nowego kalendarza zaledwie w niewielu krajach zdołano go dotrzymać. Jednym z tych nielicznych państw była Polska. Powstał pomysł – nie wiem, czy Stefana Batorego, czy któregoś z jego mądrych doradców – jak rozpowszechnić tę informację. Zwołano sejm do Warszawy na 4 października. Przyjechali posłowie z najdalszych krańców Rzeczypospolitej i tu się dowiedzieli, że następnego dnia nie będzie 5, ale 15 października. Tak to się wtedy odbyło.

Dziękuję bardzo.

Prof. dr hab. Wawrzyniec Konarski

Uniwersytet Warszawski

Szanowny Panie Marszałku! Szanowni Państwo!

Występuję tu trochę jak profan, bo jestem politologiem, a nie historykiem. Mam jednak nadzieję, że historycy wybaczą mi parę uwag również w lekkim tonie, bo chyba dzień temu sprzyja. Odniosę się do kilku kwestii z referatu pana profesora Chwalby. Wątek, dotyczący inspiracji polskością, czy też Polską jako krajem walczącym o wolność i będącym pewnym symbolem oryginalnych uregulowań ustrojowych w XIX wieku, był jednak, moim zdaniem, bardzo koniunkturalny, zwłaszcza z perspektywy trzech krajów: Francji, Niemiec czy Bel-

gii. To trwało krótko.

Niedawno dotarłem do bardzo ciekawych wspomnień człowieka, którym się chlubię, chociaż nie badałem, czy jestem jego potomkiem. Mówię o Szymonie Konarskim. Kiedy wyjechał na emigrację, oczywiście przymusową, po upadku Powstania Listopadowego, pisał w swoich pamiętnikach o tym – to jest taki wątek troszeczkę *à rebours* tego, o czym mówił pan profesor Samsonowicz – jak budził wielką fascynację młodych Niemców.

Zdecydowanie ciekawszym wątkiem, rzadko poruszonym też przez polskich historyków, jest natomiast przypomnienie, że fascynacja Polską jako krajem walczącym o wolność, mającym ciekawy model ustrojowy była o wiele mniej koniunkturalna w takich krajach jak Bułgaria, która się wybijała na niepodległość, czy Serbia, co zresztą Serbowie nam dzisiaj wyrzucają, zwłaszcza w kontekście bombardowań sprzed 10 lat. Z zupełnie innych powodów do tych krajów należała Turcja. To takie uzupełnienie.

Jeśli chodzi o wystąpienie pana profesora Tazbira, bardzo ciekawe i pokazujące wielką klasę, chciałem się tylko odnieść do jednej kwestii, do bardzo ciekawej uwagi, dotyczącej tego, jak wyglądała sytuacja w Rosji. Jak sądzę, obraz ten trzeba jednak uzupełnić o jedną rzecz. Model rosyjski, niezależnie od tego, że sprzyjał całkowicie ugruntowaniu wzorców, które nie były demokratyczne, jest ciekawy. W Rosji stworzono bowiem – co prawda, wymuszony, ale istniejący do dzisiaj i wielowiekowy – szacunek dla tych, którzy rządzą. My pokazujemy to w ekstremalnie odmiennym wydaniu, czyli prezentujemy kompletny brak szacunku.

Ta sytuacja też powinna być, jak sądzę, przypomniana, bo pokazuje, w jakim stopniu my, patrząc na Rosję, pamiętamy wyłącznie o stereotypie negatywnym. Nie bierzemy natomiast pod uwagę, że pewne elementy fascynacji tym, iż ktoś rządzi, mają ewidentnie charakter propaństwa. Tego zaś w naszej tradycji zupełnie nie ma. Tym bardziej że władza w Polsce budziła „rozdętą” niechęć społeczeństwa, ponieważ i źle nagradzała, i, niestety, źle karała. Według mnie znakomicie ilustruje to historia arian, wyrzuconych z Polski za to, że byli totalnymi pacyfistami. Ludzi zaś, którzy byli zdrajcami, na czele z Radziejowskim, ułaskawiono.

I jeszcze drobne uwagi do wypowiedzi pana profesora Samsonowicza, który od wielu lat jest dla mnie osobą inspirującą. Myślę, że pana ciekawa uwaga, iż Europa powinna się odwoływać do polskich doświadczeń, jest ze wszech miar słuszna. Tylko że tak nie jest. Cały problem polega na tym, iż Europa raczej werbalnie odnosi się do kwestii polskich, kiedy ulega fascynacji polskością, jak w czasach po Powstaniu Listopadowym, w czasie Wiosny Ludów czy w roku 1989, po to, żeby już parę lat później, nawet ustami ekspertów, pokazywać swoją ignorancję.

Podam państwu przykład. W roku 1995 w BBC ukazał się krótki komunikat, w którym ówczesny szef brytyjskiego MSZ powiedział, że nie ma problemu granicy polsko-rosyjskiej, bo jest ona na Wiśle. Okazja do polemiki nadarzyła się 3 lata później, na zjeździe europeistów w Leicester. Przypomniałem ten fakt, kiedy dyskutowano między innymi o kryteriach akcesyjnych. Ukazałem szanownemu gronu, że w istocie ich własne społeczeństwa, co gorsza, ich liderzy polityczni mają zerowe pojęcie o tym, czym jest Polska i jak wygląda. Oczywiście, spotkałem się z tym, czego się powinienem spodziewać i spodziewałem, czyli totalnym ostracyzmem w czasie pierwszej przerwy na kawę. Znakomicie się bawiłem, bo to dokładnie potwierdzało moje wyobrażenie o tym, w jaki sposób reagują na takie zachowania Brytyjczycy. Piłem tę kawę sam, ciastka też jadłem sam. W pewnym momencie podeszła do mnie pewna starsza pani, która zaskoczyła mnie niezwykle tym, co powiedziała: „Wiesz, że brak reakcji na to, co wygłosiłeś na sali w tym miejscu, jest formą reakcji?”. Odpowiedziałem: „Absolutnie się zgadzam, tylko pani mi burzy całe moje wyobrażenie. Myślałem bowiem, że zostanę do przerwy sam, a pani jest tutaj ze mną”. Ona na to: „Tak, ale ja jestem pół-Irlandką”.

Jak więc państwo widzą, znowu stereotypy, od nich nie uciekniemy.

Dziękuję bardzo.

Prof. dr hab. Krzysztof Mikulski

Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu

Panie Marszałku! Szanowni Państwo!

Oczywiście, o parlamentarystyce I Rzeczypospolitej można by jeszcze mówić kilka godzin i pewnie nie wyczerpalibyśmy tematu. Wątki, o których wspo-

mniano, są niesłychanie ważne, tolerancja polska jest jednym z najważniejszych. Chciałbym się odnieść do wypowiedzi pana profesora Konarskiego. Uważam, że nie można jednak przenosić pewnych wydarzeń historycznych na system wartości współczesnej. Wygnanie arian było jednak pewnym sposobem obrony państwa przed elementami bardzo je niszczącymi. Mniej więcej w tym samym czasie Brytyjczycy swoich arian wywozili do Ameryki, a mamy przykłady znacznie więcej. Czasami całe mniejszości wyznaniowe wyganiano z Polski za wyrażoną zdradę państwa, jak choćby braci czeskich, którzy sprzyjali Szwedom. Między tą zdradą a dyskryminacją religijną w historii są jednak różnice, musimy to różnicować, także w zależności od czasów. Inaczej będziemy to oceniali w wieku XX, a inaczej w XVII.

Pamiętam piękny artykuł w „Polityce”. Ktoś określający się jako wielki znawca historii napisał, że właściwie wszyscy hetmani dawnej Rzeczypospolitej to byli mordercy i zbrodniarze, bo po prostu mordowali swoich wrogów. Jeżeli w ten sposób będziemy podchodzili do historii, to oczywiście, że okaże się ona straszna i bardzo krwiożercza.

Dziękuję bardzo.

Prof. dr hab. Andrzej Chwalba

Uniwersytet Jagielloński

Zacznę od ostatniego wystąpienia polemicznego. Nie ma jednej Europy. Jeżeli będziemy ją identyfikować wyłącznie z Zachodem, to racja. Jest jednak jeszcze grupa bałkańska, Europa Północna itd. Reakcje na to, co się działo u nas, i na nasze reakcje wobec tego, co się u nich działo, też były odmienne. Widać to zresztą do dziś. Ponadto, w tytule naszej konferencji jest demokracja. Tymczasem fascynacja na Bałkanach to była fascynacja monarchistami. Podczas innej konferencji będzie można również wspominać, że taka fascynacja tam jest. W wielu miastach są pomniki, nawet konne, księcia Jerzego Adama Czartoryskiego, ulice, skwery itd. Nie ma tego na Zachodzie.

Oдноśnie do koniunktury. Trwała ona 19 lat. Zaczęła się w roku 1830, a skończyła w 1849, czyli w końcowym okresie Wiosny Ludów. Oczywiście, były pewne fazy. Trudno żyć na tak wysokim poziomie miłości cały czas, przez długie lata, to jest wbrew fizjologii. Zgadza się z tym – mówił też o tym profesor

Samsonowicz – że chcieliśmy czy nie chcieliśmy, ale trafiliśmy na dobry czas. Europa romantyczna chciała nas wielbić, a my chcieliśmy być wielbieni przez romantyczną Europę. I romantyzm trwał mniej więcej od 1840 roku do Wiosny Ludów.

Zgadzam się z tym, co mówił pan profesor Tazbir o nieudacznikach. Pojawiła się taka opinia, ale później, bo ten przykład dotyczy Powstania Styczniowego. Kiedy już romantyzm, fascynacja wolnością wygasły, ludzie się zajęli biznesem, nagle przyszli polscy romantycy i znowu chcieli coś niemądrego w Europie zrobić, zburzyć to, co już poskładano. I wtedy nie mogło być dobrej reakcji. Widać wyraźnie, że emigracja po Powstaniu Styczniowym już nie była Wielką Emigracją. Wielka była ta pierwsza, również dlatego że miała wielki wpływ na świat.

Ostatnia sprawa. Bardzo dziękuję za uwagę na temat Bastylia. Rzeczywiście, Bastylia stała się znakiem rodzącej się nowej Europy. W wielu podręcznikach europejskich, a nawet koreańskich, japońskich, wspomina się o zburzeniu Bastylia. I to jest początek mitu założycielskiego nowoczesnej, współczesnej Europy, Unii Europejskiej. To, oczywiście, mit. Francuzi są mistrzami w zakłamywaniu historii. My jesteśmy kiepskimi uczniami, jeśli chodzi o te umiejętności. Oni stworzyli wyobrażenie, że w Bastylia więziono dziesiątki, setki więźniów sumienia. Tymczasem okazuje się, że było tam siedmiu więźniów, w tym ani jednego więźnia sumienia: dwóch skazanych za uwiedzenie mężatek, dwóch wariatów, jeden fizycznie niepełnosprawny i dwóch, których trudno było zdefiniować. Razem siedmiu. Na tym podlega geniusz rewolucji francuskiej. Tę całą siódemkę obdarzono dobrami, przywilejami, ubrano we fraki i obnoszono po Paryżu jako symbole zwycięskiej rewolucji. Tak potrafią zrobić tylko Francuzi.

Nawiązujemy do muru berlińskiego. Ceny jego kawałków na aukcjach światowych osiągają ceny porównywalne z cenami obrazów Picassa, Malczewskiego. Co natomiast zrobił La Fayette, czyli gwiazda rewolucji francuskiej, jednocześnie bohater rewolucji amerykańskiej? Zapakował duży fragment muru zburzonej Bastylia w rewolucyjną gazetę francuską i przesłał statkiem prezydentowi Washingtonowi z pozdrowieniami.

Dziękuję bardzo.

Prof. dr hab. Włodzimierz Mędrzecki

Instytut Historii Polskiej Akademii Nauk

Do uwag dotyczących wydarzeń dziewiętnastowiecznych dodam jeszcze jeden przykład wielkiej fascynacji Polską, Rumunię. Rumuński ruch narodowy i demokratyczny od czasów Wiosny Ludów bardzo poddał się wpływowi najpierw Mickiewicza, a później Sienkiewicza. Przy czym, co zabawne, Rumuni przetłumaczyli prawie całego Sienkiewicza, ale nie z polskiego, którego nie znali, ale z francuskiego, była to więc ogólnoeuropejska współpraca.

Odnosząc do dyskusji, chciałbym wyjaśnić, że doszło do pewnego nieporozumienia. Nieprecyzyjnie się wyraziłem. Nie chciałem powiedzieć, że ordynacja wyborcza w 1919 roku promowała mniejszości narodowe. Ponieważ istnieje powszechny pogląd, że Sejm Ustawodawczy był bez wyjątku polski, chciałem podkreślić, że jednak znalazło się tam dziewięciu posłów żydowskich i dwóch niemieckich. Przepraszam, być może moja uwaga nie była dość precyzyjna.

Cała ta sprawa pokazuje jeszcze raz, moim zdaniem, pozytywną rolę demokracji parlamentarnej w wersji liberalnej. Pokazuje bowiem, że była możliwa taka sytuacja w Polsce, w której ustawodawstwo i ławy państwa mogły być zorganizowane na zasadach w pełni respektujących prawa i obowiązki obywatelskie, niezależnie od wyznania, pozycji społecznej, majątku itd. Właśnie dyskusje w ramach Sejmu Ustawodawczego doprowadziły do uchwalenia nowej ordynacji wyborczej i konstytucji marcowej, a dzięki temu rozwiały tego typu wątpliwości na rzecz standardów, których naprawdę nie musieliśmy i nadal nie musimy się wstydić.

Dziękuję.

Prof. dr hab. Tomasz Schramm

Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu

Dziękuję bardzo, Panie Profesorze.

Wypowiedzi referentów zakończyły nasze obrady w części przedpołudniowej, historycznej.

Myślę, że będę wyrazicielem opinii wszystkich tu obecnych, kiedy podziękuję nie tylko referentom za znakomite przedstawienie złożonej problematyki w krótkim czasie, ale też wszystkim dyskutantom, którzy niewątpliwie to nasze

posiedzenie dodatkowo ożywili, dodali mu jeszcze jakąś wartość. Dziękuję państwu.

Przepraszam bardzo, ale jeśli zamierzamy trzymać się programu, następna sesja musi rozpocząć się o 13.40.

Prof. dr hab. Teresa Sasińska-Klas

Uniwersytet Jagielloński

Witam na części popołudniowej. Czekamy na pana marszałka Bogdana Borusewicza, który zapowiedział, że będzie, chyba że jest jakiś inny komunikat.

Marszałek Senatu Bogdan Borusewicz

Otwieram panel politologiczny naszej konferencji. Dziękuję wszystkim historykom, którzy pozostali na nim. Dla mnie, oczywiście, ta część jest bardzo interesująca, poprzednia też taka była. Przyznam, że miałem wyjechać, ale już po pierwszej części zdecydowałem się pozostać. Dyskusja, wystąpienia w pierwszej części były bowiem tak interesujące. Przewiduję, iż druga część będzie równie ciekawa. Być może w drugiej części będę mógł się też skonfrontować, gdyż uczestniczyłem w niektórych działaniach i wydarzeniach.

Dziękuję państwu za przybycie. Oddaję prowadzenie pani profesor Teresie Sasińskiej-Klas.

Prof. dr hab. Teresa Sasińska-Klas

Uniwersytet Jagielloński

Witam w sesji popołudniowej, którą przygotował Zarząd Główny Polskiego Towarzystwa Nauk Politycznych. Jest ona poświęcona XX-leciu wprowadzenia ładu demokratycznego w Polsce. Odniesiemy się zatem do tego okresu i poddamy analizie tylko niektóre problemy. Które, zależeć będzie od tego, na co wystarczy czasu.

Pragnę podziękować panu marszałkowi Bogdanowi Borusewiczowi za zainteresowanie, za zaproszenie zarówno Polskiego Towarzystwa Historycznego, jak i Polskiego Towarzystwa Nauk Politycznych do udziału w tej konferencji. Przyjęliśmy założenie, że Senat, który został restytuowany w wyniku negocjacji w trakcie obrad Okrągłego Stołu, jest najbardziej odpowiednim miejscem do dyskusji nie tylko o historii parlamentaryzmu, ale także o doświadczeniach ostatnich 20 lat, związanych z tworzeniem ładu demokratycznego.

Od 22 do 24 września 2009 r. planujemy zorganizowanie pierwszego kongresu politologii, dyscypliny, która się bardzo dynamicznie rozwija w ciągu ostatnich 20 lat. Chcielibyśmy poprosić pana marszałka Bogdana Borusewicza o uroczyste otwarcie kongresu 22 września. Pragnę poinformować, że dotychczas 490 osób zgłosiło się do udziału w tym spotkaniu. Powstaje pewien problem logistyczny, gdzie się zmieścimy, zwłaszcza że chcielibyśmy zainaugurować ten kongres w budynku parlamentu.

Teraz przechodzimy do części merytorycznej konferencji.

Pragnę zaprosić pana profesora Romana Bäckera, nowo powołanego dziekana Wydziału Nauk Politycznych Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. Temat wystąpienia pana profesora to „Okragły Stół – od totalitaryzmu do demokracji?”.

Prof. dr hab. Roman Bäcker

Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu

Panie Marszałku! Szanowni Państwo!

Chciałbym się zastanowić wraz z państwem nad tym, czy Okragły Stół oznaczał przejście od totalitaryzmu do demokracji. Jeżeli państwo pozwolą, nie będę odczytywał tekstu, bo podejrzewam, że we wszystkich teczkach on się znajduje, nie będę też opisywał wydarzeń Okragłego Stołu, na ten temat napisano bowiem niesłychanie dużo. Chciałbym wymienić tylko podstawowe nazwiska autorów, którzy napisali na ten temat niezwykle dużo: Antoniego Dudka, Krysiny Trembickiej, Petera Rainy czy obecnego tutaj pana profesora Karola Bromeusza Janowskiego.

Dla mnie podstawowym jednak pytaniem jest to, czy można potraktować serio jeden z wielu mitów dotyczących Okragłego Stołu. W pewien sposób zaprezentował go Stefan Bratkowski. Pisał on: „Okragły Stół (...) zapoczątkował rewolucję, i to pokojową, zapoczątkował pokojowe przejście do wolności i demokracji. W skali światowej – zapoczątkował rozpad komunizmu, ustroju, który zdawał się ustrojem nie do obalenia”. Inaczej mówiąc, to mit Okragłego Stołu, który był, z jednej strony, początkiem demokracji, z drugiej strony, końcem komunistycznego totalitaryzmu.

Proszę Państwa, sądzę, że ten mit, najłagodniej mówiąc, jest w dużej mierze

uproszczeniem. Wynika to z niezbyt dokładnego zdawania sobie sprawy z trzech rozmaitych kwestii. Tego, jaki był system polityczny Polski, czy – inaczej mówiąc – reżim polityczny Polski w latach osiemdziesiątych, czym był w rzeczywistości Okrągły Stół i kiedy naprawdę nastąpiło tak zwane otwarcie demokratyczne.

Czym była Polska w latach osiemdziesiątych? Czy była krajem totalitarnym? Jeżeli zastosujemy moją ulubioną definicję Juana Linza, dotyczącą totalitaryzmu, to z jej analizy i eksplikacji na poziomie polskim wyniknie, że Polska po sierpniu 1980 roku i po 13 grudnia 1981 roku krajem totalitarnym nie była w takim stopniu, żeby można było mówić o dojrzałej formie totalitaryzmu.

Powszechna mobilizacja – czyli, według Juana Linza, jedno z kryteriów dowodzących istnienia totalitaryzmu – nie udawała się w żaden sposób, nie udawały się nawet mobilizacje członków PZPR-u. Trzeba było na przykład we Wrocławiu w 1982 roku wycofywać się ze wspólnych patroli wojskowo-robotniczo-milicyjnych. Raczej trzeba było chronić emerytów – bo tylko oni się zgłaszali do tych patroli – niż robić cokolwiek innego. Jeśli chodzi o masowość, przynajmniej w ramach aparatu partyjno-państwowego, akceptacji totalitarnej dominacji politycznej w wersji marksistowskiej, to ona, szczerze mówiąc, była już niezbyt duża w latach siedemdziesiątych.

Przeanalizowałem przemówienia Edwarda Gierka. Wynikało z nich wprost, że był to już język jedynie formalnej identyfikacji, a nie język ideokratyczny, czyli taki, w który się wierzyło. Oczywiście, ten poziom totalitarnej dominacji politycznej w latach osiemdziesiątych uległ jeszcze większej destrukcji. Tym samym można było się posługiwać językiem totalitaryzmu wyłącznie jako kodem identyfikacyjnym, ale wszelkie inne funkcje on już przestał pełnić.

Trzecia cecha totalitaryzmu, według Juana Linza, to funkcjonowanie partii nowego typu w ramach aparatu partyjno-państwowego, ekspandującego na coraz to nowe grupy społeczne, a przynajmniej dążącego do zawłaszczania całego społeczeństwa. Problem polega na tym, że PZPR, nawet po 13 grudnia 1981 roku, nie miała żadnych możliwości ekspansji. Wręcz przeciwnie, znacząco zmniejszała się liczba członków PZPR. Jednocześnie zachodził dosyć ciekawy proces zwiększania tak zwanego poziomu upartyjnienia jedynie w dwóch gru-

pach: funkcjonariuszy MSW – to nic dziwnego – i robotników rolnych, czyli pracowników PGR, których do tego „chwalebego” czynu zmuszały kłopoty pracownicze. Struktury partyjne na samym dole po prostu już w latach osiemdziesiątych nie działały.

Jako anegdotę mogę przytoczyć historię jednego z moich kolegów prawników, który usiłował się pozbyć funkcji pierwszego sekretarza podstawowej organizacji partyjnej, ale mu się nie udawało. Przez ładnych kilka lat bowiem nie udawało mu się zebrać kworum na zebraniu partyjnym, a on już miał tego dosyć.

Nic dziwnego, że w 1989 roku nastąpiła spontaniczna destrukcja stanu członkowskiego PZPR, a nie w styczniu 1990 roku, kiedy przechodzono z jednej struktury do drugiej. Inaczej mówiąc, aparat partyjno-państwowy funkcjonował już według innych, nie totalitarnych zasad. W latach osiemdziesiątych mieliśmy do czynienia z martwą skorupą totalitarną, pod którą ukrywała się rzeczywista treść o charakterze autorytarnym z wyraźną dominacją takich odłamów aparatu partyjno-państwowego jak wojsko i aparat przemocy wewnętrznej, łącznie z tajnymi służbami.

Inaczej mówiąc, Okrągły Stół nie został końcem totalitaryzmu, bo ten totalitaryzm już był martwy. Stał się końcem totalitaryzmu w innym sensie –wprowadzał nowe instytucje polityczne, które nadawały zupełnie inny sens i zmieniały istniejące struktury decyzyjne na te bardziej adekwatne w sytuacji, w jakiej wówczas znajdował się system polityczny w Polsce.

Proszę Państwa!

Prezydent o bardzo szerokich kompetencjach to po prostu system władzy prezydenckiej, mniej więcej porównywalny z tymi kompetencjami, jakie mamy w niektórych krajach Azji Środkowej czy w Rosji. Brak alternacji władzy zapisany przy Okrągłym Stole, czyli 65% mandatów przypadających stronie rządzącej, oznaczał, że władza wykonawcza pozostawała w tych samych rękach. To nic innego jak podstawowe cechy definicyjne systemu autorytarnego. Inaczej mówiąc, Okrągły Stół wprowadzał system autorytarny na poziomie instytucji politycznych, centralnych organów władzy publicznej. Oczywiście, jeżeli popatrzymy na klasyfikację systemów autorytarnych, to wówczas wprowadzono autorytaryzm o bardzo umiarkowanym charakterze, z zagwarantowaną platformą działa-

nia dla opozycji. Szczerze mówiąc, to był pewien warunek zawarcia tego porozumienia, jednocześnie pozwalający na efektywne funkcjonowanie systemu zupełnie inaczej niż było to po sierpniu 1980 roku. Z jednej strony, mieliśmy do czynienia z aparatem partyjno-państwowym, a z drugiej – z dosyć żywiołowo działającym ruchem „Solidarności”, niemającym reprezentacji we władzach państwowych, w związku z tym spychanym na poziom niesformalizowanych działań grup nacisku. To, oczywiście, musiało mieć odpowiednie konsekwencje.

Warto popatrzeć na rozwiązania przyjęte podczas obrad Okrągłego Stołu jako na likwidację martwej skorupy totalitarnej, tych instytucji, ośrodków decyzyjnych, które już nie musiały w ten sposób funkcjonować. Jednocześnie jego postanowienia umożliwiły wprowadzenie takiego systemu autorytarnego, który likwidował problemy niedające się rozwiązać po sierpniu 1980 roku, głównie na poziomie wzajemnych uzgodnień pomiędzy dwoma blokami politycznym. Jeżeli popatrzeć na analizę instytucjonalną, to Okrągły Stół możemy usytuować na poziomie decyzji zachowawczej, która rozwiązywała problemy instytucjonalne, stojące przed Polską po sierpniu 1980 roku.

W rzeczywistości niezależnie od intencji obu stron, dosyć dokładnie opisaną w tekstach i opracowaniach naukowych, mamy do czynienia z daleko idącymi konsekwencjami: ze zgodą nie tylko na upodmiotowienie zalegalizowania, ale także na upodmiotowienie w ramach systemu politycznego wielu rozmaitych sił politycznych, a nie wyłącznie „Solidarności”, ze zgodą na podmiotowe wyrażanie woli politycznej przez naród polityczny. I to poskutkowało tym, iż możliwe stało się przeprowadzenie wyborów 4 czerwca 1989 roku.

Wybory 4 czerwca, jeżeli to rozpatrywać na poziomie systemowym, były wyrażeniem woli przez naród polityczny, ponieważ nie zostały zakwestionowane. To oznaczało, że od tego momentu naród polityczny uzyskał suwerenność. Inaczej mówiąc, 4 czerwca mieliśmy do czynienia z podwójnym przełomem. Uzyskanie suwerenności przez naród polityczny spowodowało, że pod względem istotnościowym skończył się całkowicie okres zależności państwowej od Związku Radzieckiego, bo kto inny został już suwerenem. Mieliśmy też wówczas do czynienia z przełomem demokratycznym, bo to naród polityczny uzyskał suwerenność. Pojawiła się zatem definicyjna cecha demokracji.

Okrągły Stół, niezależnie od swoich intencji, zapoczątkował procesy, nad którymi można było w jakiś sposób panować. Niemożliwe było jednak, aby przewidzieć ani w lutym, ani w kwietniu 1989 roku, że się to skończy tym, czym się zakończyło 4 czerwca i w następnych miesiącach tego roku.

Dziękuję bardzo.

Prof. dr hab. Teresa Sasińska-Klas

Uniwersytet Jagielloński

Proszę teraz następnego referenta. Pan profesor Tomasz Goban-Klas z Uniwersytetu Jagiellońskiego będzie analizował przełamywanie partyjnego monopolu mediów. Tytuł jego wystąpienia to właśnie „Przełamywanie partyjnego monopolu mediów – stolik medialny przy Okrągłym Stole”.

Prof. dr hab. Tomasz Goban-Klas

Uniwersytet Jagielloński

Panie Marszałku! Pani Przewodnicząca! Szanowni Państwo!

Dziękuję bardzo za stworzenie okazji do przedstawienia tematu, który mnie pasjonuje od bardzo wielu lat, a więc do zaprezentowania roli mediów w transformacjach rozmaitego typu – społecznych i politycznych, a także samego systemu medialnego. Temat to niezwykle obszerny, częściowo został wyłożony w materiałach, które państwo otrzymali. Nie będę zatem odczytywał tego referatu, ale się na niego powoływał.

Teoria dramatu widowiska teatralnego mówi o tym, że jeśli powiesi się strzelbę w pierwszym akcie, to ta strzelba powinna wystrzelić w trzecim. Wiodącym elementem mojej wypowiedzi będzie teczka. Teraz wyciągnę z niej część materiału i podzielę teatralnie na dwa elementy: prolog i epilog.

Oczywiście, to kolosalne uproszczenie, bo przed prologiem było jeszcze coś, co można nazwać systemem medialnym, medialnym systemem partyjnym, właściwie monopolem partyjnym. Monopol partii w tej dziedzinie sytuował prasę jako potężną siłę, jak mówił Dimitrow, jako podwładzę społeczną. System medialny partii był bardzo silnie rozwinięty. W 1980 roku dla większości Polaków – przypomnę, bo wszystko szybko zapominamy – głównym, a nawet podstawowym źródłem informacji był ciągle wieczorny „Dziennik Telewizyjny”, emitowany na dwóch kanałach równocześnie, oglądany mniej więcej przez 60%

osób dorosłych codziennie, 40% słuchało wtedy wiadomości radiowych. Kontrolowane środki przekazu wywierały ogromny wpływ na społeczeństwo. Do dzisiaj można się zastanawiać, jak nasza świadomość społeczna jest ukształtowana przez te rezydwa tamtego okresu.

To, że te programy oglądano, nie znaczy, iż były wiarygodne. Mówiło się przecież, przypomnę: „«Dziennik» kłamie”, „prasa kłamie”. Żądano prawdy, która miała być po prostu zaprzeczeniem kłamstwa. To bardzo proste, bo to nie była prawda filozoficzna, to nie była prawda teologiczna, która miała wyzwalać, ale to była prawda dnia codziennego. Sytuacja ekonomiczna się pogarszała, a propaganda sukcesu „rozdymała” i twierdziła nadal, że wszystko jest w porządku. To wywoływało efekt, który psychologowie określają mianem bumerangowego, czyli irytację społeczną.

Grupy młodych wykształconych Polaków coraz częściej – oprócz tradycyjnych alternatywnych form przekazu zagranicznego jak radiostacje zagraniczne – sięgały także po publikacje poza debitem, podziemne itd., znajdujące się poza zasięgiem cenzury. Ludzie zaczęli być świadomi tego, że bombardowała ich partyjna propaganda, a władze ją kontynuowały. Pojawiły się dysproporcja i zderzenie tych różnych postaw. Nastąpiło przesilenie społeczne, głównie na bazie pewnego pogorszenia stanu gospodarczego. W lipcu 1980 roku fala strajków ogarnęła powoli całą Polskę. W Gdańsku na bardzo wysokim, bo trzecim miejscu, w trzecim punkcie, pojawił się postulat dostępu do środków przekazu, próba odrzucenia tego kłamstwa.

Przypomnę, że to stanowiło szok dla bardzo wielu osób, łącznie ze mną – byłem analitykiem – gdy okazało się, że w trzecim postulacie „Solidarności”, czy też robotników domagano się: przestrzegania zagwarantowanych w Konstytucji PRL wolności i słowa, druku publikacji, a tym samym nierepresjonowania niezależnych wydawców oraz udostępnienia środków przekazu przedstawicielom wszystkich wyznań. Ten postulat dzisiaj może wydawać się skromny, ale wtedy był wręcz rewolucyjny. Nie tylko dlatego, że został wysunięty przez komitet strajkowy, który przecież o innych rzeczach powinien myśleć, ale też dlatego, że został w ogóle zgłoszony w sytuacji owego totalitaryzmu, w dziedzinie zarządzania społecznego, będącego zwykłym totalitaryzmem.

W swoich aspiracjach natomiast partia nadal monopolizowała wszystko. Można było słuchać, oczywiście, Wolnej Europy, ale wiadomo, że to nie było działanie może nie nielegalne w sensie dosłownym, ale wydawało się niegodne, niedopuszczalne, zwłaszcza dla pewnych grup społecznych. Bardziej zaskakujące okazało się jednak to, że partia przystąpiła na te żądania, zawarte w punktach postulatów. Było ich więcej, w tekście je wymieniam, w książkach to również zostało opisane.

W podpisanych porozumieniach ustalono, że państwowa rozgłośnia będzie transmitowała mszę świętą, a cenzura zostanie ograniczona do tajemnic państwowych, gospodarczych. W ciągu 3 miesięcy miał powstać projekt ustawy o cenzurze, bardzo mocno podważający, czy wręcz znoszący same idee, może nie dominacji partii, ale pewnego monopolu partyjnego. Jak czytałem we wspomnieniach, niektórzy radykałowie mówili, że należy iść dalej, żądać całkowitego zniesienia cenzury. Panie Marszałku, przepraszam, że to przypomnę, ale podobno mówił pan wtedy: „Zobaczcie, a Czesi za czasów Dupczeka chcieli znieść cenzurę i co? Czołgi wjechały!”.

Myślę, że było trochę tak, że jednak wtedy z uwagi na słynny argument geopolityczny, mówiono: nie, nie trzeba iść aż tak daleko, ale ograniczmy cenzurę, zmieńmy ten dekret itd. Wydaje mi się, że to okazało się ze wszech miar rozsądne. Jeżeli bowiem mamy skorupę totalitarną, to nawet niewielka zmiana będzie potem zwiększała swój zasięg.

Proszę Państwa!

To była nieprawdopodobna zmiana. Brytyjski dziennikarz w swojej książce pisał o tych postulatach, że to wprost zdumiewające. Od Wiosny Ludów w XIX wieku nie zdarzyło się, aby narody Europy wymusiły na swych władcach taki układ. To było wprost niewyobrażalne. Niewyobrażalne, bo istotą władzy PZPR stanowiło utrzymywanie monopolu informacyjnego we wszystkich kanałach informacji publicznej. Nie tyle propaganda *per se* była taka ważna, ile monopol.

Tymczasem nastąpił już wyłom w tym monopolu. Dano też pewne przywileje, 30 minut różnych audycji, powstał Tygodnik „Solidarność”. Generalnie jednak, cały rok 1981 to przepychanki o media. Partia przyrzekała, potem się wycofywała, ograniczała, kluczyła, mataczyła, ale coś się, oczywiście, zmieniło. Po-

wiem tylko – przypomniał o tym wczoraj w Krakowie dr Stanisław Jałowiecki – że na 12 grudnia 1981 roku było wyznaczone pierwsze posiedzenie rady medialnej „Solidarności”.

Potem przyszedł 13 grudnia. I co się stało? Logiczny, niestety, układ władzy komunistycznej został przywrócony. Nie chcę tego opowiadać, bo wielu z nas pamięta ten komunikacyjny *blackout*, ale to było nieprawdopodobne. Wyciszone telefony, przy ówczesnym stanie technicznym to jeszcze udało się zrobić. Takie wyciszenie społeczeństwa przez całkowity monopol informacyjny przynajmniej przez 2–3 tygodnie to przecież fenomen na skalę światową! Potem, oczywiście, to się zaczęło odradzać, i to silnie, w postaci struktur podziemnych, wydawnictw, zwłaszcza po 1985 roku, kiedy powiew *glasnosti* z Rosji również polskim opozycjonistom dawał nową nadzieję. W wydarzeniach 1989 roku zaś media najpierw wspierały rządy komunistyczne, ale potem, także te oficjalne, pomagały je pokonać.

Zasiadałem jako ekspert przy stoliku medialnym w czasie obrad Okrągłego Stołu. Po stronie rządowej była ekipa z Urbanem i innymi, mniejszej wagi ludźmi, a po stronie solidarnościowej – bardzo silna, chyba najsilniejsza intelektualnie grupa, Kozłowski, Michnik i cała plejada najtęższych umysłów. Spierano się tam o rzecz, w moim przekonaniu, najistotniejszą. O to, że bez wolności, choćby bardzo ograniczonej, prawa do prowadzenia agitacji wyborczej, przedstawiania się w mediach wszystkie inne ustalenia wezmą w łeb, bo nie zostaną poparte przez społeczeństwo.

To nie kwestia legalizacji „Solidarności”, ale stworzenia warunków do działania, a wolność stowarzyszenia wymaga wolności mówienia. Powstała wtedy pewna koncepcja mediów społecznych, którą potem, niestety, zapomniano. Powstały takie media publiczne, jakie wszyscy znamy. Krótko powiem, jakie były postulaty: dostęp do radia i telewizji, podział papieru gazetowego, legalizacja wydawnictw podziemnych itd. Zostało to zrealizowane, „Gazeta Wyborcza” mogła się narodzić. Pamiętam, że przy Okrągłym Stole wszyscy trzymali teczki, a tu był jeszcze wielki znaczek „Solidarności”. I to w kolosalny sposób wpływało na opinię publiczną, gdy ktoś stał i mówił, a miał tę teczkę. Dla mnie to był wizualny przekaz legalizacji opozycji.

Debata Miodowicz–Wałęsa to była pierwsza debata, w której obie strony bardzo dbały, żeby zachowano sprawiedliwe warunki pokazania ich obu. Wałęsa przyszedł i zwyciężył w tej debacie, choć partia stojąca po stronie Miodowicza liczyła, że ten robotniczy intelektualista rozniesie na strzępy tego stoczniowca. Okazało się, że nie rozniósł. Wydaje mi się, że to był ten pierwszy wylom. Przekaz dla Polaków wydawał się oczywisty. Oficjalne, partyjno-rządowe media uznały „Solidarność”. W moim przekonaniu, miało to ogromny wpływ na proces, który się rozpoczął, „przekształcania milczącej większości w działającą większość”. Polacy zobaczyli, że to jest siła zidentyfikowana. Zobaczyli „na żywo” społecznych liderów, zobaczyli Michnika, i to nie ośmieszanego przez Urbana, zobaczyli także inne osoby. Nagle się okazało, że ci ludzie mają inteligentne twarze, a nie diable rogi. Taki przekaz poszedł w świat i milcząca większość tak, a nie inaczej zagłosowała 4 czerwca 1989 roku.

Powiem tylko, że przy Okrągłym Stole po stronie partyjnej było straszne złudzenie, że skoro jej ludzie są rozpoznawalni, wygrają. Na przykład pułkownik Stanisław Kwiatkowski mówił w „Panoramie” ciekawe rzeczy o badaniach opinii publicznej i był takim partyjnym liberałem. Był więc święcie przekonany, że kto jak kto, ale on na pewno wygra, bo ludzie go znają z „Panoramy”.

Kończąc, powiem jeszcze o wewnętrznym elemencie. Wojciech Wiśniewski, wieloletni pracownik KC PZPR, niedawno w wywiadzie bardzo trafnie uchwycił fundamentalne znaczenie wolności mediów. W końcowym okresie istnienia PZPR – ale dotyczyło to również KPZR i Gorbaczowa – kierownictwa tych partii zapomniały o ich totalitarnej istocie, zgodziły się na reformy, które zupełnie nie mieściły się w logice systemu. Bardzo destrukcyjnie wpływały na ten system pierwsze numery „Gazety Wyborczej”, ale oddziaływały nie tylko na opozycjonistów, ale także na aparat partyjny. Działacze po raz pierwszy od 40 lat otwierali legalnie wydawaną gazetę i czytali, że partia i ustrój są do niczego. To był szok. Takie rzeczy można było czytać w ulotkach, pod biurkiem. Ale oficjalnie!? W ogólnopolskiej gazecie!? Tak samo partia została po 1956 roku zaskokowana nie tylko skalą represji, ale też przez Radio Wolna Europa, bo aktywy partyjny już go wtedy słuchał i dowiedział się czegoś nowego.

W związku z tym, że zaczął się proces demokratyzacji, lawina poleciała na

sąsiednie kraje, a w tym znowu media odegrały swoją rolę. Wtedy była już telewizja satelitarna, partyjni działacze w różnych krajach mogli też zobaczyć, że tu się coś zmienia, dynamizuje. I ten Okrągły Stół, jego obrady wryły się w pamięci w Europie. W moim przekonaniu, to również pomogło tej łagodnej rewolucji. Pomogło sprawić, że rok 1989 stał się *annus mirabilis*. To była ta Wiosna Europy Wschodniej.

Media, według mnie, najpierw były pod władzą, a potem stały się władzą alternatywną, no i to poszło dalej. Mówi się, że media to czwarta władza. Myślę, że one w totalitaryzmie znajdują się pod władzą, w demokracji zaś nad władzą, ale nie są czwartą władzą. Władzą jest pan marszałek, policjant, a dziennikarz jest nad nim. Będzie tak długo rył, aż obali generała policji, marszałka będzie chciał obalić. A to znaczy, iż jest nad władzą. Tę dynamikę bardzo wyraźnie dawało się dostrzec i na tym polega ta rola teczki, od której zacząłem. W czasach wolności teczka odgrywała jeszcze inną rolę, ale ten temat na razie zostawię.

Dziękuję.

Prof. dr hab. Teresa Sasińska-Klas

Uniwersytet Jagielloński

Dziękuję bardzo.

Pragnę poprosić panią profesor Katarzynę Sobolewską-Myślik z Uniwersytetu Pedagogicznego im. Komisji Edukacji Narodowej w Krakowie o przedstawienie swojego wystąpienia. Jego tytuł to „Przekształcenia systemu partyjnego po 1989 roku”. Bardzo proszę.

Prof. dr hab. Katarzyna Sobolewska-Myślik

Uniwersytet Pedagogiczny im. KEN w Krakowie

Panie Marszałku! Szanowni Państwo!

Stało przede mną niezwykle trudne, ze względu na przedmiot, zadanie. Partie polityczne są bardzo niewdzięcznym i trudnym tematem. Ponadto wielu autorów już zajmowało się tym problemem, więc bardzo trudno byłoby nie odwoływać się do ich dorobku, czy też jakoś go pominąć.

Postanowiłam powiedzieć o skuteczności i zdolności polskich partii politycznych do kreowania wzajemnych relacji – system partyjny to przede wszystkim relacje międzypartyjne – i o skuteczności partii politycznych w kreowaniu

relacji z elektoratem. Jeżeli starczy mi czasu, to może powiem też parę słów na temat organizacji partii politycznych.

Proszę Państwa!

System partyjny to przede wszystkim relacje międzypartyjne, wzajemne relacje pomiędzy partiami. Chciałabym wyjść od stwierdzenia, empirycznie dowiedzionego przez polskich socjologów, że swoisty fenomen stanowi fakt, iż polscy wyborcy zdolni byli do tego, żeby w miarę stabilnie ukształtować swoje wyborcze preferencje. W ostatnich latach, jak się okazuje, my, Polacy, jako wyborcy ukształtowaliśmy te preferencje przede wszystkim na bazie problemów aksjologicznych, z trochę mniejszym naciskiem na kwestie ekonomiczne.

Najmocniejszą tezę w tym zakresie postawiła autorka – na pewno znana państwu – profesor Mirosława Grabowska. Mówi ona wręcz, że w polskiej polityce ukształtował się podział postkomunistyczny, czyli preferencje ułożyły się według pewnego wzorca, z odwołaniem do wartości związanych z byłym systemem realnego socjalizmu i do wartości demokratycznych.

Nie chcę się odnosić do problemu ukształtowanych relacji aksjologicznych, ale do tego, jaką rolę w kształtowaniu tych relacji odegrały same partie. Profesor Mirosława Grabowska jest do tego bardzo pesymistycznie nastawiona. Mówi, że polskie partie polityczne w gruncie rzeczy nie przyczyniły się do tego, iż Polacy tak sobie te wzorce i sympatie ukształtowali. Sama autorka pisze: „(...) rywalizowało i rywalizuje wiele podmiotów, w dodatku zwalczających się i niestabilnych organizacji elit politycznych, więc relacje pomiędzy wyborcami a partiami nie mogą się ani zawiązać, ani utrwalić”. Oczywiście, autorka mówiła tak przede wszystkim w odniesieniu do prawej strony sceny politycznej. Wiemy, że potem role trochę się odwróciły.

Chodzi jednak o pewne zjawisko, polegające na tym, że wyborcy niejako zrobili to, co do nich należało, czyli ukształtowali sobie jakość, swoje sympatie polityczne. Partie polityczne ani nie pomogły, ani nie odegrały aktywnej i kreacyjnej roli, bo chyba nie były zdolne do tego, żeby te wartości na przykład wykreować czy utrwalić. Pamiętajmy, że partie polityczne nie są wyłącznie lustrem odbijającym rzeczywistość. Oczywiście, wyrażają pewne preferencje, ale także je kreują, pomagają nam je sobie uświadomić i je utrwalać.

Proszę Państwa!

Okazuje się, że jeżeli polscy wyborcy rzeczywiście raczej poradzili sobie z ukształtowaniem swoich sympatii politycznych, to zrobili to niejako mimo partii politycznych, trochę obok nich, partie im w tym nie pomogły. Co zatem z tego wynika dla systemu partyjnego? W moim przekonaniu, ta nieefektywność kreowania relacji z elektoratem sprawia, że polskie partie utworzyły system partyjny, ale układ wzajemnych relacji między partiami jest niejako oddzielony od elektoratu, nie wpisuje się w realia społeczne, w jakich działa system polityczny. To pierwsza konstatacja. Ona mogłaby być bardzo pesymistyczna, ale nie chciałabym psuć atmosfery tej rocznicy takimi pesymistycznymi stwierdzeniami.

W związku z tym pragnę pójść dalej i powiedzieć, że drugi aspekt kreowania relacji międzypartyjnych, wzorców tych relacji dotyczy strategii samych partii politycznych, w szczególności zaś – strategii koalicyjnych. To druga kwestia, którą chciałabym tutaj poruszyć. Pragnę powiedzieć, że, w moim przekonaniu, obecnie obserwujemy pewnego rodzaju ciekawe zjawisko. Być może, polskie partie zaczynają działać w sposób kreatywny, budując pewne strategie koalicyjne, strategie wzajemnych stosunków, które pozwolą im odzyskać, czy też uzyskać potencjał budowania relacji, o którym cały czas tutaj mówię.

Myślę o takiej oczekiwanej przez wielu koalicji, która nie doszła do skutku, między Platformą Obywatelską a Prawem i Sprawiedliwością. Liczono na to, że ona powstanie. Oczekiwanie to prawdopodobnie wynikało z pewnego poczucia bliskości, bliskości ideowej, programowej, może trochę „genetycznej” tych dwóch partii, zwłaszcza z punktu widzenia osób, które w nich działają. Do utworzenia tej koalicji jednak nie doszło. W moim przekonaniu, stało się coś dobrego, ponieważ to znaczy, że polskie partie zaczęły wybierać strategie innowacyjne. Co przez to rozumiem? Prawo i Sprawiedliwość pierwsze wyłamało się, kreując koalicję z Samoobroną i Ligą Polskich Rodzin, z tego układu postsolidarność–postkomunizm, o którym między innymi pisała Mirosława Grabowska. Utworzyło w ten sposób zupełnie nową na polskiej scenie politycznej relację między partiami, w której ugrupowania z jednego, umownie, obozu politycznego, postsolidarnościowego, weszły w odmienne relacje we wzajemnych układach koalicyjnych, czyli Prawo i Sprawiedliwość z Samoobroną i Ligą Polskich Rodzin.

Krótko trwała ta koalicja, więc nie wiadomo, czy wiele się w tym zakresie zdarzyło, czy ona rzeczywiście coś nowego przyniosła. Chcę natomiast powiedzieć, że, według mnie, te innowacyjne strategie są stosowane. Do pewnego stopnia obecna koalicja rządząca, czyli koalicja Platformy Obywatelskiej i PSL, jest także innowacyjna. Platforma Obywatelska jako postsolidarnościowa partia weszła bowiem w koalicję z partią, która do tej pory, do momentu przełamania tych wzorców, nawiązywała relacje koalicyjne z partiami postkomunistycznymi, czyli tylko z SLD.

Co to oznacza? Do czego zmierzam? Chcę powiedzieć, że pewne zjawiska, obecnie obserwowane na polskiej scenie politycznej, czyli innowacyjne zachowania koalicyjne, być może doprowadzą do powstania innych relacji międzypartyjnych. Dezintegracja lewicy – i to dezintegracja nie tylko polegająca na tym, że pojawiło się po lewej stronie sceny politycznej dużo podmiotów, ale także na tym, iż polscy wyborcy zdają się odchodzić w swoich sympatiach od lewicowych poglądów – stwarza, być może, potencjał dla tych dwóch partii, Platformy Obywatelskiej i Prawa i Sprawiedliwości, do odegrania kreacyjnej roli w tworzeniu nowych podziałów socjopolitycznych na polskiej scenie. Znaczyłoby to, że polskie ugrupowania, być może, nawiążą kontakt z elektoratem. Zrobią wreszcie to, czego oczekujemy od nich od tak dawna, czyli będą nie tylko odzwierciedlać pewne poglądy, które my jako elektorat prezentujemy, ale też pomogą ukształtować nowe jakościowo relacje. To jest taka moja optymistyczna wizja polskiego systemu partyjnego, która się z tej dynamiki miałyby wyłonić.

Zdaję sobie sprawę, że rysując te wizje przyszłości, trochę odchodzę od głównego nurtu, jaki się na tej konferencji wykrystalizował, nurtu rekapitulacji. Ponieważ polski system partyjny nie jest ustabilizowany, chciałam zauważyć, że być może dzieje się coś nowego. Zmiana strategii koalicyjnych partii należących do umownej grupy postsolidarnościowych wraz z trudnościami, jakich doświadcza lewica, składają się na obraz nowego sposobu konkurencyjnego w polskim systemie partyjnym. Może to także zwiastować zmiany samego systemu. Nie bez znaczenia jest, moim zdaniem, również to, że w tej reorientacji Platforma Obywatelska i Prawo i Sprawiedliwość zdają się aktywnie współtworzyć nowe relacje z elektoratem. W tym kontekście mniejsze znaczenie mają

kwestie liczby, a nawet tożsamości podmiotów obecnych w systemie niż pojawiające się nowe wzorce konkurencji międzypartyjnej.

Chcę się odwołać do jeszcze jednego problemu, kwestii organizacyjnych partii politycznych. To jest odwołanie się do badań, które obecnie prowadzimy w zespole w Krakowie z panią doktor Beatą Kosowską-Gąstoł i panem doktorem Piotrem Borowcem z Uniwersytetu Jagiellońskiego. Piszemy pracę poświęconą właśnie organizacji partii politycznych. Niestety, mamy pewne przemyślenia, którymi chcę się z państwem podzielić. Dlaczego wspominam o organizacji, mówiąc w gruncie rzeczy o systemie partyjnym? Organizacja jest dla partii narzędziem zapewniającym jej skuteczność. Jeżeli partia zorganizowana jest w sposób skuteczny, jeżeli wie, co chce osiągnąć poprzez swój model organizacji, to ma szansę – przynajmniej ja tak sądzę – skutecznie realizować pozostałe zadania, do których jest powołana.

Proszę Państwa!

Niestety, pesymistyczny obraz, który się wyłania, jest następujący. Polskie partie polityczne mają dosyć niejasny własny obraz modelu organizacyjnego, do którego chciałyby dążyć. W naszych badaniach stwierdzamy, że partie polityczne trochę wybierają między elementami modelu masowego i elementami współczesnych wzorców reprezentowanych przez ugrupowania polityczne. Nie ma klarownej wizji, do czego polskie partie zmierzają.

Na koniec chcę powiedzieć, że bardzo źle z punktu widzenia kreacji, ale w relacji z elektoratem, wygląda także sprawa członków polskich partii politycznych. Jest ich mało. My, Polacy, niechętnie się do partii zapisujemy. Pod tym względem nie różnimy się szczególnie od reszty Europy czy świata. Liczba członków partii politycznych spada. Odpowiedzią na to w nowoczesnych ugrupowaniach politycznych jest upodmiotowienie członków, dawanie im coraz większej władzy w organizacji po to, żeby zwiększyć ich rolę legitymizacyjną. Trzeba powiedzieć, że polskie partie idą w kierunku wręcz przeciwnym. Zniechęcają, stawiają bariery, w gruncie rzeczy więcej w ich statutach możemy znaleźć wymagań w stosunku do członków partii niż praw, które im przysługują, więcej jest kar partyjnych niż nagród.

Kończąc moje wystąpienie, chcę powiedzieć, że polskie partie raczej nie

mają skutecznych narzędzi do aktywnego kreowania zarówno w relacjach między sobą, jak i między partiami a elektoratem.

Dziękuję bardzo.

Prof. dr hab. Teresa Sasińska-Klas

Uniwersytet Jagielloński

Dziękuję bardzo.

To bardzo realistyczna diagnoza, pokazująca zarówno mocne strony, jak i wiele słabości, które jako obywatele obserwujemy. Rodzi się pytanie, w jakim kierunku zmierza system partyjny w Polsce?.

Ostatnim referentem w naszej grupie jest pan profesor Andrzej Antoszewski z Uniwersytetu Wrocławskiego. Pan profesor zajmuje się systemami wyborczymi. Temat jego wystąpienia to „Wybory «otwierające» a rozwój systemu partyjnego w państwach Europy Środkowej i Wschodniej”.

Bardzo proszę.

Prof. dr hab. Andrzej Antoszewski

Uniwersytet Wrocławski

Panie Marszałku! Pani Przewodnicząca! Szanowni Państwo!

Otwierający nasz panel pan profesor Bäcker powiedział, że istnieje obszerna literatura na temat Okrągłego Stołu, tego paktu politycznego. Pan profesor wymieniał nazwiska. Odnoszę wrażenie, że piśmiennictwo poświęcone pierwszym wyborom jest nieco uboższe. Dziwi mnie zaś fakt, że nie przeprowadza się – przynajmniej w polskiej politologii – analiz porównawczych polskich wyborów z analogicznymi elekcjami, które przecież w roku 1990 odbyły się we wszystkich państwach Europy Środkowej i Wschodniej. Oczywiście, my mamy pełne prawo mówić o naszych wyborach, przede wszystkim podkreślając, że były pierwsze, przecierające szlak, że odbyły się w innych warunkach. Pan profesor Goban-Klas wspomniał o powstaniu „Gazety Wyborczej” tuż przed wyborami. To były pierwsze chwile wolnego słowa, które już w następnych elekcjach w innych krajach miało zupełnie inną moc.

Wydaje mi się, że dzisiaj, z perspektywy dwudziestolecia, warto spojrzeć na te polskie wybory „otwierające” w perspektywie porównawczej. Spróbujmy zastanowić się nad tym, w czym one się upodabniały, a czym się różniły od wy-

borów w innych krajach Europy Środkowej i Wschodniej, i na tym tle pokazać unikatowość wypadku polskiego.

Wydaje mi się, że kilka kwestii zasługuje na uwagę. Pierwsza to ramy instytucjonalne, w których odbyły się wybory „otwierające”. Przypomnę, że te wybory traktuję jako pierwszą próbę konfrontacji władz komunistycznych z mniej lub bardziej czy w różny sposób zorganizowaną opozycją, dającą szansę wypowiedzenia się za systemem lub przeciw niemu. Takie wybory odbyły się w latach 1989–1990 we wszystkich krajach Europy Środkowej i Wschodniej, przy czym tylko polskie – w 1989 roku. To jedna kwestia.

Druga sprawa dotyczy tego, jak wyglądała struktura tej rywalizacji. Ona także nie była jednakowa w poszczególnych krajach.

Trzeci problem to charakter konfliktu politycznego, który się ujawnił w wyborach „otwierających”. Mówimy, że to było przede wszystkim głosowanie za komunizmem czy przeciw niemu, ale to także nie wyglądało jednakowo we wszystkich krajach.

Czwarta sprawa to wynik tej pierwszej demokratycznej czy półdemokratycznej konfrontacji.

Piąta kwestia, która zresztą mnie najbardziej interesuje, to pytanie o konsekwencje tej elekcji dla dalszego procesu kształtowania się i rozwoju systemu partyjnego. Przypomnijmy bowiem, że te wybory, niezależnie od tego, iż stanowiły po prostu walkę o władzę, równocześnie uruchomiły pewne procesy, między innymi kształtowanie się systemu partyjnego, o czym na przykładzie polskim mówiła pani profesor Sobolewska-Myślik. Krótko mówiąc, chodzi mi o odpowiedź na pytanie, kto i z kim, w ramach jakich reguł gry walczył, o co i z jakim skutkiem i jakie były konsekwencje tej konfrontacji.

Jeśli chodzi o sprawę instytucjonalnych reguł gry, to w większości krajów stała się ona przedmiotem pewnych przetargów politycznych. Dwie kwestie, jak się wydaje, ogromnie różniły partie komunistyczne i strony opozycyjne. To problem systemu wyborczego i czasu przeprowadzenia wyborów. Co ciekawe, badacze zachodni zauważają tutaj dwie prawidłowości. Wszędzie tam, gdzie do takich paktów dochodziło – a nie zawierano ich we wszystkich krajach – partie komunistyczne parły na przyjęcie większościowego systemu wyborczego i jak

najszybsze zorganizowanie wyborów, a więc zostawienie opozycji stosunkowo niewielkiego czasu na zorganizowanie się, przygotowanie do wyborów, przeprowadzenie kampanii itd. Bardzo charakterystyczne pod tym względem są przykłady węgierski i bułgarski. Tam w pierwszych elekcjach zastosowano mieszane systemy wyborcze, które stanowiły wyraz kompromisu. Nie osiągnięto porozumienia. Partie komunistyczne upierały się przy tym, żeby zastosować większościowy system wyborczy, taki jak w czasach komunizmu. Ponieważ jednak opozycja miała tyle siły, żeby, częściowo przynajmniej, swoje żądania przedstawić, uznano, że system mieszany będzie najlepszy. Na Węgrzech utrzymał on się do dzisiaj. W Bułgarii zaś zaraz potem został zmieniony.

Jeśli chodzi o czas, Polska i Bułgaria są przykładem tego, jak bardzo władze komunistyczne nalegały na to, żeby te wybory przeprowadzić jak najszybciej. Liczyły na to, iż strona przeciwna nie zdoła się zorganizować do czasu wyborów. To ten pierwszy element konfrontacji, który nie pojawił się wszędzie. Na przykład, co ciekawe, w Estonii – jako jedynej republice wchodzącej w czasie wyborów „otwierających” w skład ZSRR – przyjęto zupełnie unikatową formułę wybierania do Rady Najwyższej Estońskiej Sowieckiej Republiki. Zostały one przeprowadzone wedle irlandzkiego systemu pojedynczego głosu przechodniego, czyli w bardzo demokratyczny sposób. To nie utrzymało się wprawdzie do dzisiaj, ale tak to wówczas wyglądało.

Krótko mówiąc, tam, gdzie partie komunistyczne były silne, udało im się przeforsować system większościowy albo przynajmniej mieszany. Tam, gdzie niewiele miały do powiedzenia w momencie ustalania reguł gry, obowiązywał system proporcjonalny i wybory zostały odsunięte w czasie. Czechy, Słowacja stanowią tego przykład.

Jeśli chodzi o strukturę rywalizacji – z wyjątkiem dwóch krajów, Węgier i Słowenii, gdzie wcześniej ukształtowały się partie polityczne – ta konfrontacja była konfrontacją dwublokową. Strona komunistyczna, partia komunistyczna i jakaś postać frontu ludowego, forum obywatelskiego – to jest ten powszechny wzorzec. To odzwierciedla istotę naczelnego konfliktu owej konfrontacji, który dotyczy charakteru reżimu politycznego. Oczywiście, w niektórych państwach pojawił się jeszcze inny konflikt, związany z ewentualnych odzyskaniem lub

uzyskaniem niepodległości. Nie jest to problem Polski, ale na przykład byłych państw Jugosławii, republik nadbałtyckich. Co ciekawe, nie pojawiło się to w Czechosłowacji, tam ten konflikt nie odegrał żadnej roli w pierwszych wyborach.

Czwarta sprawa to wynik pierwszej konfrontacji wyborczej. Możemy różnić cztery sytuacje. Pierwszą, w której zwycięstwo odniosły partie komunistyczne. To jest wypadek Bułgarii, Rumunii, Serbii. Sytuacja druga: zwyciężyła opozycja, ale partie komunistyczne starały się w następstwie tych wydarzeń dokonać transformacji w ugrupowania socjaldemokratyczne na wzór europejski. To wypadek Polski, Węgier, Litwy. Trzecia sytuacja – zwycięstwo odniosła opozycja, a partia komunistyczna pozostała na swoich ortodoksyjnych pozycjach. To są Czechy. Czwarta sytuacja: zwyciężyła opozycja, a środowisko postkomunistyczne się rozproszyło. Przykłady to Słowacja czy Słowenia. Jak się więc wydaje, to, jaki był wynik pierwszej konfrontacji, miał bardzo istotne znaczenie dla trajektorii rozwojowych systemów partyjnych.

Jak możemy to dzisiaj badać? Pierwsza sprawa to prześledzenie kolejnej rundy elekcji. Pragnę zwrócić uwagę na to, że w większości krajów te wybory odbyły się szybko, to znaczy nie po upływie pełnej kadencji. W Polsce znowu najszybciej, bo to był rok 1991, ale w latach 1992–1993 ponownie odbyły się wybory w tych państwach Europy Środkowej i Wschodniej. Można zauważyć, że struktura rywalizacji stała się zupełnie inna, zanikały fronty, czyli te doraźne formuły organizacyjne opozycji, zaczynały się także krystalizować partie. W niektórych wypadkach przestały już istnieć te twory, które wygrywały pierwsze wybory, na przykład fronty narodowe w Estonii i na Łotwie, w latach 1992–1993 już ich nie było. Sajudis, czyli Ruch na rzecz Przebudowy, na Litwie czy Forum Obywatelskie w Czechach przeistoczyły się w regularne partie polityczne.

Jak powiedziałem, w Słowenii i na Węgrzech te partie ukształtowały się już wcześniej. Co ciekawe jednak, druga elekcja węgierska pokazała, że ci, którzy byli silni w pierwszej i stoczyli między sobą walkę, schodzą w ogóle na dalszy plan, a ich miejsce zajmują formacje pozostające na marginesie w pierwszych wyborach. Widać tu takie prawidłowości. Co jeszcze ważniejsze, drugie i kolejne wybory przynoszą zmianę struktury konfliktu, który organizuje rywalizację wyborczą.

Pani profesor Sobolewska-Myślik wspomniała o koncepcji podziału postkomunistycznego, zaproponowanej przez polską socjolog, panią Mirosławę Grabowską. Koncepcja ta podziałowi postkomunistycznemu nadaje rangę tradycyjnego podziału socjopolitycznego. Książka pani profesor Grabowskiej ukazała się w roku 2004, a w 2005 roku w Polsce okazało się, że podział ten już nie odgrywa takiej roli. To jednak dla mnie bardzo interesująca uwaga, dlatego że w pierwszej fazie rozwoju systemów partyjnych w Europie Środkowej i Wschodniej obserwujemy dominację tego podziału. Rzeczywiście, charakterystyczna cecha rywalizacji politycznej, organizująca systemy partyjne tych krajów, polega na tym, że jednym z uczestników tej rywalizacji, i to zdolnym do wygrywania wyborów, do formowania rządów jest tak zwana partia sukcesorka, czyli była partia komunistyczna. Pod nazwą taką czy inną, mniej lub bardziej przekształcona stała się jedną z efektywnych stron rywalizacji. To jest rzeczywiście odzwierciedlenie podziału postkomunistycznego. Jego znaczenie zaczyna jednak słabnąć nierównomiernie w poszczególnych krajach. Wydaje się, że na przykład najszybciej ten podział zanika w Czechach, gdzie partia komunistyczna została zmarginalizowana, izolowana, z nią nikt nie chce podejmować politycznego dialogu, ona nie liczy się jako potencjalny partner koalicyjny, co najwyżej tylko komplikuje warunki rywalizacji.

Silne partie postkomunistyczne utrzymywały się przez dłuższy czas na Litwie, Węgrzech, w Polsce, ale do pewnego czasu. W Czechach chyba najprędzej, ale również w innych krajach stopniowo do głosu zaczął dochodzić podstawowy podział socjoekonomiczny, odzwierciedlający zróżnicowane stanowiska poszczególnych partii politycznych wobec koncepcji rozwoju gospodarczego, prywatyzacji, podatku, a więc tego, co ma ogromne znaczenie dla obywateli.

Proszę Państwa!

Warto postawić sobie pytanie, jakie znaczenie dla dalszego przebiegu procesu kształtowania się sceny partyjnej ma zwycięstwo opozycji antykomunistycznej lub zwycięstwo partii komunistycznej w wyborach „otwierających”. Porównanie wyników tych wyborów prowadzi do następującej konkluzji: w tych krajach, w których w pierwszej elekcji zwyciężały partie komunistyczne, nastąpiło znaczące opóźnienie demokratyzacji, a także kształtowania systemu partyj-

nego. Dotyczy to zwłaszcza Serbii i Rumunii, te partie zwyciężyły tam bowiem także w następnych wyborach. To ważne. Inaczej to wyglądało w Bułgarii. Tam partia komunistyczna zwyciężyła w pierwszych wyborach, ale już rok później oddała władzę.

Tam, gdzie zwyciężała opozycja antykomunistyczna, ale o wyraźnym nacjonalistycznym zabarwieniu – myślę tutaj o Chorwacji, Słowacji – również obserwujemy opóźnienie czy przyhamowanie pewnych procesów demokratyzacyjnych, a także niestabilność sceny politycznej. Te systemy partyjne były przez dłuższy czas „zwichrowane”. Tam, gdzie zwyciężała opozycja antykomunistyczna zdolna do wytworzenia w krótkim czasie sprawnie działających partii, te procesy demokratyzacji przebiegały w miarę, można powiedzieć, bez zakłóceń. Wymieniłbym tutaj nie tylko Czechy, Węgry, ale także Polskę.

Na koniec swej wypowiedzi chciałbym jeszcze podnieść kwestię unikatowości wypadku polskiego. Jak mówiliśmy, były to pierwsze, choć nie w pełni, demokratyczne wybory. Myślę jednak, że ta wolna i swobodna rywalizacja kandydatów na senatorów miała kolosalne znaczenie, mimo że to nie Senat był instytucją, której przyznawano główną władzę. Te wybory organizowano w warunkach wielkiej niepewności. Tej niepewności już nikt później nie przeżywał, bo szlak został przetarty. W ówczesnych wyborach starty się dwie stosunkowo dobrze zorganizowane siły. Chcę podkreślić bardzo mocno unikatowość wypadku polskiego z uwagi na sposób zorganizowania antykomunistycznej opozycji. To nie było przygotowane *ad hoc*, polska opozycja miała już swoją tradycję, legendę. To mogło wpływać na sprawność, z jaką zabrano się do kampanii wyborczej, choć nikt w udziale w demokratycznych kampaniach wyborczych nie miał doświadczeń. Tego się trzeba było uczyć. My dzisiaj mówimy o tym, jakie to było amatorskie, ale okazało się skuteczne.

W wyborach „otwierających” starty się dwie siły. Natychmiast potem rozpoczął się proces dekompozycji obu środowisk politycznych, będących głównymi stronami. Rozwiązaniu uległa PZPR, co wyraźnie pokazało zróżnicowanie wewnętrznych frakcji, a zainicjowało powstanie nowej formacji. Obóz „Solidarności” także zaczął się fragmentaryzować. Zaczęły powstawać partie polityczne. Akurat te wolne wybory zbiegły się niemalże w czasie z – jeśli nawet nie for-

malnym, to faktycznym – otwarciem na tworzenie partii politycznych. One powstawały jak grzyby po deszczu. W rezultacie w roku 1991 doszło do konfrontacji między całą masą ugrupowań politycznych. Poziom rozdrobnienia osiągnięty w trakcie drugich wyborów nigdzie w Europie w tym czasie nie znalazł analogii. Tak zwana efektywna liczba partii, które się dostały do parlamentu, to taki miernik. W Polsce był wówczas najwyższy w Europie. Dość powiedzieć, że zwycięstwo z wynikiem 12,32% – bo taki osiągnęła Unia Demokratyczna, zwycięzca wyborów z 1991 roku – nikomu nigdzie w Europie się nie udało. To jest na pewno kwestia unikatowa.

Rozwój systemu partyjnego jest determinowany głównie czynnikami natury instytucjonalnej. Zmiana systemu wyborczego w roku 1993 drastycznie zmieniła polską scenę polityczną, nadal pokazując dekompozycję obozu „Solidarności”. Próbę jej przewyciężenia stanowiło utworzenie Akcji Wyborczej Solidarność w roku 1997. Ten eksperyment także nie sprawił jednak, że powstała silna partia prawicy.

Lewica zdawała się świetnie trzymać do roku 2001, po czym w 2005 roku utraciła 75% elektoratu, uzyskała zatem katastrofalny wynik. To otworzyło drogę do przeniesienia rywalizacji na inną płaszczyznę. Od 2005 roku nie mamy już do czynienia z podziałem postkomunistycznym, bo wówczas wyraźnie zredefiniowano konflikt polityczny, mówiąc o konflikcie między Polską solidarną a liberalną. To już nie kwestia genezy.

Dwie partie, które od 2005 roku toczą między sobą walkę o władzę, wywodzą się z tego samego pnia. To są partie zajmujące podobne stanowisko w kwestiach mocno nas dzielących, czyli moralno-obyczajowych, ale różniące się między sobą receptą na rozwiązywanie problemów gospodarczych. Chyba największa unikatowość polskiego systemu partyjnego, wynikającego z wyborów „otwierających”, polega na tym, że oto po szesnastu latach powracamy do sytuacji, w której walkę o władzę toczą ugrupowania wywodzące się z tych będących zapleciami partyjnymi głównych rywali o prezydenturę w roku 1990. Prawo i Sprawiedliwość jako kontynuacja Porozumienia Centrum i Platforma Obywatelska jako, w pewnym stopniu oczywiście, kontynuacja ROAD-u – wszystko to pokazuje, że historia nam zatoczyła koło. Nic takiego nie zdarzyło się w żadnym

innym państwie Europy Środkowej i Wschodniej.

Na temat tego, jakie to ma konsekwencje i wpływ na przyszłość, trudno się dzisiaj wypowiadać. Przez jednych Polska traktowana jest jako przykład skonsolidowanego już systemu partyjnego. Ja nie byłbym takim optymistą. Myślę, że ten kształt partyjnej sceny w Polsce nie ukształtował się jeszcze ostatecznie. A to, że w warunkach państw postkomunistycznych scena polityczna okazuje się labilna, rynek wyborczy otwarty, a mimo finansowania partii przez państwo dostęp nowych partii wcale nie jest tak mocno utrudniony, pokazują nam liczne przykłady, łącznie z wysławianą przez większość politologów Słowenię. Wydawała się oazą stabilności, tymczasem w ostatniej elekcji z 2008 roku nastąpiło tam wyborcze trzęsienie ziemi.

Zapewne czekają nas jeszcze różne zawirowania i zakręty, aczkolwiek odpowiedź na pytanie, dlaczego historia u nas zatoczyła koło, dalej wydaje mi się niezwykle interesująca.

Dziękuję państwu za uwagę.

Prof. dr hab. Teresa Sasińska-Klas

Uniwersytet Jagielloński

Dziękuję.

Rozpoczynamy dyskusję.

Marszałek Senatu Bogdan Borusewicz

Pani Profesor! Szanowni Państwo!

Chcę najpierw powiedzieć, jak epoki się przenikają. Kiedy byłem młodym, kilkunastoletnim człowiekiem, a interesowałem się historią, myślałem, oczywiście, o tym najciekawszym okresie. Najciekawszy był dla mnie XIX wiek, romantyzm. Szczególnie młodemu człowiekowi interesująca i ciekawa wydawała się Wiosna Ludów, kiedy po całej Europie przeszedł taki powiew rewolucji, a robili to młodzi albo bardzo młodzi ludzie. I tak sobie siedziałem i myślałem, dlaczego urodziłem się sto lat później. Jakie to były ciekawe czasy!

A pod koniec 1991 roku, kiedy ciągle byłem bardzo zapracowany, spojrzałem na mapę Polski, zobaczyłem, że na zachodzie nie graniczymy już z NRD, ale z RFN. Na południu nie ma Czechosłowacji, są Czechy i Słowacja. Na wschodzie – Ukraina, Białoruś, Litwa i Rosja. Na szczęście, Rosja, a nie ZSRR. Pomy-

ślałem sobie wtedy, że to naprawdę bardzo ciekawe czasy. Nie patrzyłem na to wtedy tylko z odpowiedniej perspektywy, bo trzeba mieć do tego dystans. Mówię o tym, żeby pokazać państwu – i historykom, i politologom, jakie są wpływy idei, historii, wydawało się, sto lat czy ponad sto lat wcześniejszej na czasy współczesne.

Teraz przejdę do czasów współczesnych. Niepodległość, demokrację odzyskiwaliśmy w dwóch ruchach. Pierwszy to sierpień 1980 roku. Co się wtedy stało, oprócz tego, że powstała olbrzymia organizacja, sprzeczna z systemem, wbrew logice systemu? Co się wtedy stało? Przecież ówczesna, dyktatorska władza opierała całą swą ideologię na suwerenie, którym była klasa robotnicza. Przecież partia była emanacją klasy robotniczej, a rządziła klasa robotnicza jako suweren. I stoczeni im. Lenina odebraliśmy tę legitymację suwerena. To było jasne. Po prostu konsekwencją stała się jakby likwidacja ideologiczna. I partia, która w latach siedemdziesiątych miała trzy miliony stu członków, jak sobie przypominam, zaczęła się rozsypywać. Dlatego trzeba było coś zmienić, dlatego trzeba było się odwołać do wojska i do służb.

Oczywiście, olbrzymie znaczenie miało powstanie tej dziesięciomilionowej organizacji, nowej zupełnie, która nazywała się związkiem zawodowym, ale przecież możemy teraz sobie powiedzieć jasno, że to nie był tylko związek zawodowy. Ja wiedziałem o tym od początku, ta druga strona też to wiedziała. To był ten pierwszy ruch.

Drugi ruch to 4 czerwca 1989 roku – wybory. Po 4 czerwca zmierzaliśmy się po prostu w sposób otwarty i za zgodą dwóch stron. Do dzisiaj nie wiem, jakie badania przedstawiała Służba Bezpieczeństwa, jakie oceny dawał aparat partyjny, aparat wojskowy, że Jaruzelski zdecydował się akurat na takie wybory. Wiedziałem, że te badania nie są najlepsze, ponieważ w 1987 roku Jaruzelski zdecydował się na referendum, które przegrał, po prostu przegrał. Potem wybory.

Szanowni Państwo!

My, działając w podziemiu, a potem w „Solidarności”, a jeszcze potem w podziemiu – oczywiście, bo po delegalizacji przecież działaliśmy – nie organizowaliśmy oporu dla samego oporu. Jaki miałyby być rezultat? Ponowna legalizacja „Solidarności”. A narzędzie do tego? Oczywiście rozmowy. Wiadomo więc

było, że trzeba doprowadzić do rozmów. Żeby jednak doprowadzić do rozmów, musi być opór.

W czasie rozmów w Magdalence, potem przy Okrągłym Stole, ale przede wszystkim w Magdalence, ustalono wszystkie zasady, zrąb tego, co może wynikać z ustaleń Okrągłego Stołu. Nie byłem w Magdalence, bo mnie Wałęsa nie wziął. Miałem często inne zdanie i odmówiłem udziału w obradach Okrągłego Stołu, więc znam to z drugiej ręki. Z Magdalenki dostawałem jednak dokładne sprawozdania od Lecha Kaczyńskiego. Okrągły Stół śledziłem zaś, oczywiście tak jak wszyscy, ale oprócz tego otrzymywałem też informacje od wielu moich kolegów, którzy przecież w tych rozmowach brali udział. Rezultat Magdalenki i Okrągłego Stołu to znacznie więcej niż oczekiwaliśmy. W pewnym momencie zaczęliśmy się nawet zastanawiać, czy nie chcą nam dać za dużo, żebyśmy się tym nie udławili. Po 4 czerwca 1989 roku, kiedy były te w pełni wolne wybory do Senatu i częściowo wolne do Sejmu – można powiedzieć takie kurialne, kuria opozycji i kuria władzy – zlikwidowana została możliwość oporu partii i całego aparatu. Klęska okazała się tak duża, że kompletnie zdemobilizowało to cały aparat. I on nie był zdolny do jakiegokolwiek reakcji, reakcji użycia siły.

Jaka jeszcze była różnica między sierpniem 1980 roku a 4 czerwca 1989 roku? Po sierpniu byliśmy sami, Polska była sama. Byliśmy izolowani. Nie udało nam się przerzucić rewolucji do krajów sąsiednich. Zdawałem sobie sprawę, że to zapewne będzie skutkowało klęską. Udało nas się izolować skutecznie, bo taka izolacja nastąpiła po sierpniu, może wrześniu, kiedy jeszcze docierały informacje, były jakieś możliwości, a potem nastąpiła kompletna izolacja.

Zupełnie inna sytuacja była w 1989 roku. Druga strona przegrała, jej klęska była straszna, szczególnie to, że cała lista krajowa, która miała być lokomotywą dla wszystkich najważniejszych, przepadła. To było dla nich straszne. Możliwości przeciwstawienia się temu już nie było, powstrzymywania narastania parcia na system, w sytuacji kiedy był Gorbaczow i pierestrojka, a w sąsiednich krajach też zaczął się ruch. Jedyne możliwości to próbować pójść do przodu. Uważam, że Okrągły Stół dla Jaruzelskiego i jego ekipy stanowił próbę ucieczki do przodu, nieudanej zresztą, bo zostali złapani za nogi. Bardzo szybko cały system się przewrócił, bo potem dynamika była ogromna.

W sierpniu, wrześniu 1980 roku, do końca 1980 roku ta dynamika była duża. Potem przyszedł stan wojenny – bardzo ciężka, długa walka. Po 4 czerwca 1989 roku ta dynamika zmian była wprost ogromna. Związek Radziecki rozpadł się w połowie 1991 roku, ale jako mocarstwo on już przestawał istnieć w momencie wyzwolenia się krajów satelickich. Stracił swoją pozycję mocarstwową.

Pan profesor Goban-Klas bardzo dobrze odczytał te 21 postulatów jako przesłanie robotników do wszystkich, także do intelektualistów, naukowców, bo tak to zostało zrobione, tak miało być odczytane. Muszę jednak panu powiedzieć – i to nie jest tajemnicą – że robiła to opozycja. W dużej mierze ja te postulaty układałem. A ten trzeci postulat sam napisałem, od początku do końca. Z sugestią jednak, że byłem za utrzymaniem cenzury, się nie zgadzam. Oczywiście, w ramach tego, co było możliwe, uważałem, że trzeba cenzurę zlikwidować. Przykład Czechosłowacji, który znałem, oczywiście, z przekazów oficjalnych, tu zadziałał, ale także zadziałał przykład NRD, znany mi z innych przekazów. W tym czasie w NRD była msza w radio, w związku z tym uważałem, że to możliwe.

Przyznam się też do tego, że skreśliłem jeden postulat, dopisany przez jednego z moich kolegów. Ja te postulaty redagowałem, grupowałem itd. Dałem to do druku, ale, na szczęście, wziąłem, żeby przeczytać, co tam wydrukowano. Okazało się, że czwartym postulatem są wolne wybory. Muszę powiedzieć, że włosy mi stanęły na głowie, bo to była propozycja: oddajcie władzę. I skreśliłem ten postulat. Nie tylko go skreśliłem, ale także po prostu kazałem zniszczyć cały wydruk. Oczywiście, Służba Bezpieczeństwa miała tę nową wersję. Kilka dni później przeczytałem polemikę chyba w „Trybunie Ludu” właśnie z tym postulatem. Moja czujność okazała się zatem słuszna.

Mógłbym tutaj mówić bardzo, bardzo długo, ale o reszcie zmilczę.

Dziękuję bardzo.

Prof. dr hab. Teresa Sasińska-Klas

Uniwersytet Jagielloński

Dziękuję bardzo.

Panie Marszałku!

Pan był jednym ze znaczących liderów opozycji demokratycznej. Czekaliśmy dwadzieścia lat i dzisiaj zostaliśmy uprzywilejowani, żeby poznać *credo*

pańskiej działalności opozycyjnej, za co ogromnie dziękujemy. Będziemy pana wielokrotnie cytować, analizować. Teraz już wiemy, że możemy pana cytować, bo przyznał się pan do niektórych wątków swojej działalności, których można się było domyślać, ale nie mieliśmy potwierdzenia.

Marszałek Senatu Bogdan Borusewicz

O jednej jeszcze rzeczy jeszcze zapomniałem powiedzieć, to temat trochę spoza dyskusji. Pan profesor Antoszewski omawiał zmiany w krajach poza Polską. Chcę powiedzieć kilka zdań o Mongolii, bo to będzie dla państwa bardzo ciekawe. Do Mongolii eksportowaliśmy rewolucję. Pojechała tam z powielaczami grupa z Mazowsza, ściągnięta przez byłych studentów mongolskich, którzy studiowali w Polsce. Ci studenci przeprowadzali zmiany w Mongolii. Rezultatem tego jest fakt, iż Mongolia ma małą konstytucję, naszą małą konstytucję, która została literalnie przepisana.

To pokazuje, jak system, ustrój wpływa na funkcjonowanie państwa. W byłym ZSRR wszędzie – oczywiście Mongolia nie była w ZSRR – jest system prezydencki Jelcyna, jelicynowski. Ktokolwiek tam wygrał wybory raz, to nie przegrywa żadnych. W Mongolii zaś, która ma naszą małą konstytucję, ci, którzy sprawują władzę, przegrywają wybory. Ostatnio, zdaje się, przegrał wybory urzędujący prezydent. Co to oznacza? Pewnie podniosą się głosy, sugestie, że to tak samo jak w Polsce. Nie, to oznacza, że w Mongolii funkcjonuje system demokratyczny. Jeżeli ci, którzy rządzą, przegrywają, jest to dla mnie jasne.

Dziękuję bardzo.

Prof. dr hab. Teresa Sasińska-Klas

Uniwersytet Jagielloński

Dziękuję raz jeszcze.

Można powiedzieć, że pańska wypowiedź, taka pogłębiona analiza pozwala nam lepiej zrozumieć to, co się działo, dlaczego państwo jako opozycja demokratyczna, po tej drugiej stronie, robili, to, co robiliście, co realizowaliście. Cały czas ten proces trzeba śledzić po to, żeby go odczytać w pełni.

Dziękujemy za pomoc w odczytaniu historii. Dziękujemy panu nie tylko jako historykowi, ale przede wszystkim jako temu, który w tej opozycji demokratycznej odegrał bardzo znaczącą rolę w sensie koncepcyjnym, czyli wniósł wkład

w to, że ta opozycja funkcjonowała tak, jak funkcjonowała.

Dziękuję bardzo.

Chciałabym poprosić pana profesora Aleksandra Łuczaka, który się zgłosił. Jest lista następnych zgłoszeń.

Prof. dr hab. Aleksander Łuczak

Panie Marszałku! Pani Przewodnicząca! Szanowni Państwo!

Bardzo krótko chciałbym się jeszcze odnieść, jeżeli państwo pozwolą, do tej części, która była przed przerwą, czyli do referatu pana profesora Chwalby o dziewiętnastowiecznym parlamentarystyce. Dodałbym, że w monarchii austro-węgierskiej wprowadzenie tego systemu parlamentarnego właśnie dało początek zorganizowanym partiom politycznym, stworzyło podstawy ich działalności, a także między innymi to, co było ewenementem na tamte czasy – umożliwiło powstanie ruchu chłopskiego dzięki wyborom do sejmu krajowego, a potem do parlamentu wiedeńskiego. Początek miało to w komitetach wyborczych.

Jeszcze jedna, również krótka uwaga do referatu pana profesora Mędrzeckiego, dotyczących oceny pierwszego Sejmu pierwszej kadencji. Powiedziałbym, że miał on swoje zasługi, ale jego trwanie – jako jedyny przetrwał całą kadencję – było okupione czymś, co nazwałbym egoizmem poselskim. Ten Sejm przeżył wszystkie katastrofy: wyłonił większość parlamentarną, potem koalicyjny rząd, złożony ze wszystkich partii reprezentowanych w parlamencie, potem stworzył rząd pozaparlamentarny, potem był „kopany” przez marszałka Piłsudskiego i dyktowano mu warunki, które on zaakceptował.

Przetrwał w całym swoim ciągu egoizmu, wynikającego z tego, że konstytucja dawała mu prawo nierozwiązywania się, bo od posłów zależało, czy się ten Sejm rozwiąże i skończy swoją kadencję. Uważam, że w zdrowej demokracji te wszystkie rzeczy, które wymieniłem, spowodowałyby, iż ten Sejm co najmniej dwa lub trzy razy by się poddał, zostałby rozwiązany. Tak się nie stało. Według mnie też z jakiejś woli przetrwania wynikała zgoda na utworzenie rządu pozaparlamentarnego, rządu fachowców Władysława Grabskiego i przeprowadzenie reformy walutowej, reformy gospodarczej. Uważam, reforma Władysława Grabskiego jest pomnikiem tamtego okresu. Jest to coś, o czym Polacy zapomnieli, a powinni się tym chwalić. Powinni świętować ten dzień kwietniowy, kiedy zo-

stała wprowadzona silna złotówka, oparta na takim systemie, bo wtedy stworzono podstawy funkcjonowania państwa na przyszłe lata.

Chciałbym jeszcze powiedzieć, że patrząc na okres od wojny do upadku komunizmu, zauważyłbym, że można dostrzec, iż w latach czterdziestych mieliśmy największą spośród krajów, które weszły na drogę opozycji antykomunistycznej, opozycję zorganizowaną przez ruch chłopski pod przywództwem Mikołajczyka. Chciałbym zapytać, co się stało z ruchem chłopskim, który na początku komunizmu wyrósł na taką potęgę i przeciwstawiał się fali komunizmu?. Nie odegrał natomiast takiej roli po pięćdziesięciu latach, w latach dziewięćdziesiątych. Na pewno trzeba wskazać na te sprawy, które związane były z terrorem. Terror, jaki został wprowadzony w latach czterdziestych wobec opozycji antykomunistycznej, przerastał znacząco to, co się działo w latach osiemdziesiątych, przy całej dolegliwości stanu wojennego: wyroki śmierci, skrytobójcze zabójstwa – wszystko to miało wtedy miejsce.

Warto również wspomnieć o innym aspekcie. W żadnym kraju socjalistycznym – chyba tak ich wówczas nie nazywano – nie zachowała się taka formuła działania czy egzystencji chłopów jak w Polsce. Po 1956 roku odejście od kolektywizacji stworzyło warunki do trwania gospodarki rolnej z zachowaniem własności indywidualnej. Mamy potem różne akty, jak wpisanie do konstytucji zapisu o własności chłopskiej, mamy to, co dzisiaj jest solą w oku wielu, czyli KRUS, ale to też w tamtych czasach się zaczęło. Powstały zatem pewne podstawy, które wskazywałyby na to, że siła chłopska mogła się w jakiś sposób objawić w latach osiemdziesiątych czy dziewięćdziesiątych. Dlaczego tak się nie stało?

Myślę, że o jednej rzeczy pan marszałek Borusewicz nie powiedział, a uważam, iż powinien. Warto, moim zdaniem, również zaznaczyć, że ruch „Solidarności” wypracował w latach osiemdziesiątych znakomitą formułę funkcjonowania, stosowaną potem przez cały stan wojenny, to znaczy, że demonstracje miały się utrzymać w zakładach pracy czy nie wychodzić poza mury zakładów pracy, bramy stoczni, hut itd. To była rzecz, uważam, genialnie rozstrzygnięta: nie wypuścić robotników na ulicę, żeby nie doszło do tego, co się stało w siedemdziesiątym roku, ale utrzymać ich na terenie zakładu. Były różne propozycje, żeby wyjść poza stocznię. Pan marszałek ma swój udział w tym, że koncepcja

pozostania na terenie stoczni zwyciężyła. Odnosząc się to do ruchu chłopskiego, powiedziałbym, że chłopci takich możliwości nie mieli. Z racji swojego usytuowania byli rozproszeni w różnych miejscach i na takie zorganizowanie się nie mogli liczyć.

Uważam, że warto również wspomnieć o tym, iż politycznie chłopci byli zdeintegrowani. Przez całe lata osiemdziesiąte, czy nawet wcześniej mieli różne reprezentacje polityczne: od tych, które skłaniały się ku „Solidarności”, po, nazwijmy je, proustrojowe. Gdybym miał więcej czasu, chętnie powiedziałbym, że konflikty, napięcia między jednymi a drugimi ciągle narastały. Te grupy się łączyły, dzieliły, dużą rolę odgrywały w tym ambicje personalne, przywódcze.

Inny jeszcze aspekt, który uważam za najbardziej istotny. Zarówno władza komunistyczna, łącznie z Breżniewem, jak i „Solidarność” nie chciały silnego ruchu chłopskiego. Jakie powstawały napięcia, próby przeciwstawienia się rejestracji „Solidarności” wiejskiej! Kania przytacza taką swoją rozmowę z Breżniewem na ten temat. Breżniew mówi do Kani: „Co wy tam robicie? Tworzycie partię kułacką! U was jest urodzaj w osiemdziesiątym roku i ten urodzaj pójdzie w ręce kułaków, bo po wydarzeniach bydgoskich pozwoliliście utworzyć «Solidarność» wiejską!”.

To jakaś obsesja, która funkcjonowała w tym fundamentalistycznym pojęciu komunistów o ruchu chłopskim, że jakakolwiek organizacja na wsi to jest coś absolutnie niemożliwego i nie przyjęcia, nie wolno tego tolerować.

Jeżeli chodzi o „Solidarność”, to powiedziałbym, że szła ona na fali oddziaływania międzypolczego, także wśród chłopów, i dążyła do tego, żeby doprowadzać do utworzenia i rejestracji „Solidarności” wiejskiej. Nie miała natomiast, moim zdaniem, zamiaru tej „Solidarności” wiejskiej wzmocnić, wzmocnić jej siły.

Jeszcze jedna uwaga, jeżeli chodzi o ocenę Okrągłego Stołu. Uważam, że trzeba go traktować jako jedno ze zdarzeń w procesie. Gdyby przypisywać wyłącznie jemu wszystko, uznawać, że na tym wydarzeniu i tylko na nim miałyby polegać cały proces i od niego zależało wszystko, co się stało w Polsce, to można mieć pod adresem Okrągłego Stołu jakieś zarzuty ograniczonego oddziaływania. Jeżeli jednak się uzna, że to był jeden z elementów składających się na cały ten

proces, jeden z czynników, które doprowadziły do częściowo wolnych wyborów, to łatwo zauważyć, że bez Okrągłego Stołu nic by się nie udało, nie byłoby takich wydarzeń. W moim przekonaniu, Okrągły Stół jest zdarzeniem o bardzo istotnym znaczeniu, ale tylko pewną częścią całego procesu, który miał wówczas miejsce.

Już zupełnie hasłowo chciałbym się odnieść do następującej kwestii. Nie ma możliwości oceny tego, co się u nas zdarzyło, bez odniesienia się do wydarzeń w skali międzynarodowej. Trzeba uwzględnić to, że gdzieś trwały walki, „wojny gwiazdne” Regan–Gorbaczow, w bardzo dużym stopniu oddziaływały także na nas sprawy niemieckie. Bez tego wszystkiego trudno sobie dzisiaj wyobrazić, żeby istniała taka Polska. Mówimy dziś, że mur berliński nie jest symbolem, ale przecież nie wiadomo, czy bez niego istniałaby taka wyspa jak Polska, kraj wolny. To byłoby nie do zaakceptowania, to okazałoby się niemożliwe. Patrząc na to wszystko, trzeba – moim zdaniem – oceniać to jako elementy procesu.

Dziękuję bardzo.

Prof. dr hab. Teresa Sasińska-Klas

Uniwersytet Jagielloński

Dziękuję bardzo.

Dziękuję bardzo za ten wątek, który nie był dzisiaj poruszany podczas naszej konferencji. Mam na myśli także opozycję powiązaną z ruchem chłopskim w Polsce. Wiemy przecież, że ona istniała i też odegrała swoją rolę.

Mamy wiele zgłoszeń. Pan profesor Samsonowicz, pan profesor Rutkowski, pan profesor Konarski, pan profesor Janowski, pan profesor Jabłonowski. Taka jest, można powiedzieć, kolejka.

Bardzo proszę, Panie Profesorze.

Prof. dr hab. Henryk Rutkowski

Panie Marszałku! Pani Przewodnicząca! Szanowni Państwo!

Chcę mówić o Okrągłym Stole. Przełomowa rola głównych jego ustaleń jest dla mnie oczywista – to relegalizacja „Solidarności” i częściowo wolne wybory do parlamentu. Poza tym było jednak wiele uzgodnień cząstkowych, które – choć nie pierwszorzędne – odegrały swoją rolę w ostatecznym wyniku ustaleń Okrągłego Stołu.

Ponieważ działałem od wielu lat w Polskim Towarzystwie Historycznym, dzięki Henrykowi Samsonowiczowi trafiłem do Grupy Roboczej do spraw Stowarzyszeń. Strona solidarnościowo-opozycyjna liczyła tam osiemnaście osób, przewodniczyła jej Stanisława Grabska, wiceprezes Warszawskiego Klubu Inteligencji Katolickiej. Stronie rządowo-koalicyjnej – tak się to wtedy oficjalnie nazywało – przewodniczył wiceminister sprawiedliwości Jan Brol, ale faktycznie główną rolę odgrywał w niej dyrektor z MSW o nazwisku Garlej. Odbyły się cztery posiedzenia plenarne. Poza tym działał mniejszy zespół, prowadzący szczegółowe negocjacje. Z naszej strony znaleźli się w tym zespole dwaj prawnicy Jacek Ambroziak i Andrzej Rozmarynowicz, socjolog Jacek Kurczewski i ja, historyk. Redagowaliśmy nowe prawo o stowarzyszeniach. Podstawę naszych prac stanowił projekt sześciuosobowej komisji rządowo-kościelnej. Projekt został opublikowany w pierwszej wersji już w październiku 1988 roku, a w drugiej wersji – w końcu stycznia roku 1989. Ze strony episkopatu, chcę to zaznaczyć, w tej sześciuosobowej komisji pracowali trzej prawnicy: Wiesław Chrzanowski, Jan Olszewski i Andrzej Stelmachowski. Oni wywalczyli większość ważnych uzgodnień w tym zakresie.

Protokół końcowy naszej grupy roboczej, czyli, jak to się wtedy mówiło, podstolika, został podpisany 17 marca 1989 roku. Zawierał cztery rozbieżności, jedną z nich udało się zlikwidować podczas spotkania na wysokim szczeblu w Magdalence, odbytego już po 17 marca. Trzy pozostałe rozbieżności to były: niezgoda strony rządowej na zapis, że ustawa nie dotyczy partii politycznych, utrzymanie monopolu Związku Harcerstwa Polskiego mimo faktycznie już istniejącego pluralizmu organizacji harcerskich oraz nadzór władz administracyjnych nad funduszami stowarzyszeń, pochodzącymi z ofiarności publicznej. Oprócz prawa o stowarzyszeniach nasza strona przygotowała projekt ustawy o zgromadzeniach, który strona rządowa zgodziła się przyjąć za podstawę prac w przyszłości i tak się faktycznie później stało. Wyniki prac naszego podstolika przedstawiłem w artykule, który ukazał się w świeżo odrodzonym „Tygodniku Solidarność” 29 czerwca 1989 roku. Tezy artykułu zawarłem w tytule „Lepsze prawo o stowarzyszeniach”. Teraz chcę jeszcze podkreślić, że w aktach normatywnych jest przywoływane to prawo o stowarzyszeniach według ustawy z 7

kwietnia 1989 roku, oczywiście z późniejszymi zmianami.

Na koniec chciałbym jeszcze powiedzieć o trzech wydarzeniach o charakterze anegdotycznym. Po pierwsze, kiedy zaczynały się obrady Okrągłego Stołu, spotkałem w przejściu czy na schodach młodego znajomego, Wojciecha Sawickiego, który na słowa: „Okrągły Stół” powiedział: „To kolejne oszustwo komunistów”. Nie minęło wiele czasu, a został pierwszym szefem Kancelarii Senatu. Teraz pracuje w Parlamencie Europejskim.

Sprawa druga. Pan profesor Goban-Klas wspominał o znaczkach „Solidarności”. Przed rozpoczęciem pierwszego posiedzenia stałem obok Stefana Bratkowskiego i Zbigniewa Bujaka. Byłem świadkiem, jak Bujak odezwał się do Bratkowskiego: „Ty do «Solidarności» nie należałeś, ale jesteś teraz z nami, musisz mieć ten znaczek”. I ten znaczek mu przypiął.

Sprawa trzecia. Pan profesor mówił o teczkach. Jest taki film dokumentalny, oparty na nagraniach z obrad Okrągłego Stołu, chyba stworzony w dziesięciolecie tego wydarzenia. Pojawia się tam taka scena: stoi Adam Michnik z teczką i ktoś go pyta, co jest w tej teczce. A on nie odpowiada. Dlaczego nie odpowiada? Bo tam nic nie było. Jeżeli chodzi o moje doświadczenie, to jeden raz razem z Jackiem Kurczewskim stałem przed kamerą telewizyjną, nie miałem teczki. Miałem grubą tekturę z napisem „Solidarność”.

Dziękuję.

Prof. dr hab. Wawrzyniec Konarski

Uniwersytet Warszawski

Pozwolę sobie państwu zabrać jeszcze parę minut, postaram się być w miarę skoncentrowany i wypowiedzieć się w sposób skondensowany. Parę uwag komentarza i parę polemicznych.

Może zacznę od pierwszego wystąpienia pana profesora Bäckera, ponieważ pojawiła się w nim wypowiedź, kiedy się skończył nie tyle totalitaryzm, ile kiedy została pokazana skorupa totalitarna. Chciałbym Ciebie, Drogi Romanie, zapytać, kiedy się skończył totalitaryzm w Polsce, jeśli przyjmiemy, że był?. Myślę, iż nawet po uwzględnieniu idealistycznego podejścia definicyjnego – ty mówisz o Linzu, ja chcę przypomnieć Brzezińskiego i Friedricha – można powiedzieć, że z punktu widzenia pewnych cech idealnych albo ich nagromadzenia w sensie

statystycznym skończył się jednak w październiku 1956 roku. Czy się zgadzasz z taką tezą i czy ewentualnie widziałbyś inną datę, która byłaby tutaj dobrą cezurą czasową?

Jeśli chodzi o kwestię Okrągłego Stołu, to pojawiło się tu mnóstwo bardzo ciekawych wątków, poruszonych przez szanownych państwa. Będę troszeczkę sceptyczny, kiedy powiem, że w istocie wszystko już było. W maju roku 1922 bardzo podobną umowę, ale o zupełnie innych, fatalnych skutkach, bo jej efektem była wojna domowa, zawarto między dwoma znaczącymi przywódcami pewnego małego kraju, który jako jedyny po I wojnie światowej uzyskał niepodległość bez wsparcia wielkich mocarstw, czyli z wolnym państwem irlandzkim. To skończyło się fiaskiem i w miesiąc po zawarciu umowy przez Michaela Collinsa i Eamona de Valerę doszło do jej zerwania. Polegała ona na tym, że jeszcze przed wyborami uzgodniono, iż frakcja większościowa ruchu, który się wówczas dzielił, uzyska pięć tek ministerialnych. Nieważne, jaka będzie różnica między frakcją zwycięzców a przegranych, pozostała część zaś, czyli opozycja, wobec tego uzyska cztery teki. Miało to być niezwiązane z rzeczywistym wynikiem procentowym i liczbowym. To wszystko wzięło w łeb. Całe szczęście, że akurat w tym wypadku nie wzięliśmy przykładu z Irlandczyków. To tak do sztambucha pana premiera Tuska z tym braniem przykładu z Irlandii. Nie zawsze trzeba brać z innych przykład.

Chcę powiedzieć jeszcze dwa słowa *à propos* tego, o czym mówiła pani profesor Sobolewska-Myślik. Myślę, że pierwszą próbą likwidacji konfliktów między szeroko pojętą postkomuną i postsolidarnością był okres tak zwanego łuku konstytucyjnego. Nie polegał on na tworzeniu – tu się pani, oczywiście, absolutnie nie myli – pewnego układu partyjnego i koalicji z partią, która była jak gdyby z innego obozu, jeśli przyjmiemy, że „Samoobrona” nią była, bo mam tu trochę wątpliwości. Stanowiło to natomiast próbę stworzenia pewnej warstwy intelektualnej w debacie politycznej, efektem jej prac stała się, oczywiście, konstytucja. Wymagało to jednak pewnej kooperacji partii politycznych, chociaż, jak powiedziałem, ma pani całkowitą rację: nie było to przekute na koalicję, bo o niej w tym momencie nie mogło być mowy.

Jeśli chodzi o kolejną uwagę, jaką pani była uprzejma przedstawić, to rola

kreacyjna Platformy i PiS wydaje mi się bardzo wątpliwa. Z tego prostego powodu, że skala podziałów wewnętrznych w polskim elektoracie jest o wiele większa niż to chcą przedstawiać liderzy partyjni. Pamiętajmy bowiem o tym, iż w istocie w porównaniu z innymi krajami zdecydowanie największa część osób w Polsce nie bierze w ogóle udziału w wyborach. Jeśli odejmiemy od tej grupy tych, którzy zwykle w nich nie uczestniczą – to kwestia 8–10% – to i tak stanowi to olbrzymią liczbę. Oznacza to, że w dalszym ciągu ten system partyjny jest nie-reprezentatywny z tego punktu widzenia.

Oczywiście ktoś powie, że liczą się ci, którzy biorą udział w wyborach. To prawda, ale trzeba się zastanowić nad tym, dlaczego ci inni wyboru nie chcą dokonywać. W efekcie skutki tego mogą być dwojakie. Nie przekreślałbym jeszcze roli lewicy, ponieważ ona miota się w dwóch kwestiach. Po pierwsze, nie ma programu i nie ma przywódcy. To są niezwykle ważne sprawy, jeśli spojrzymy na większość krajów europejskich w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat. Przywódca stanowi bowiem gwarancję ewentualnej szansy na zdobycie władzy. W tej kwestii lewica jest, oczywiście, całkowicie w ariergardzie.

Rzecz druga, która wydaje się bardziej widoczna na niwie gospodarczej. Nie możemy wykluczyć, że w efekcie recesji gospodarczej, jeśli ona nastąpi, wszystkie te kalkulacje się zakończą. Rząd nie będzie w stanie obronić swojego punktu widzenia, opozycja nie będzie miała recepty na rozwiązanie problemu. W tym momencie może nam się więc pojawić kompletnie inna siła, czyli typowy populizm, który w warunkach polskich był do tej pory kaszką z mleczkiem, mówiąc kolokwialnie.

Polskie partie poszukują, oczywiście, modelu organizacyjnego, ale myślę, że on może być tylko mieszany – ani model amerykański, ani model klasowy nie mają żadnej szansy. Osobiście widziałbym tu możliwość stworzenia czegoś w postaci hybrydy, to znaczy systemu komitetu wyborczego ze znaczącym wzmocnieniem roli stałych organów wewnątrzpartyjnych. Jak bowiem powiedziałem, system klasowy, który się wiąże z partią nowego typu, nie ma żadnej szansy na rewitalizację. System amerykański natomiast też w warunkach polskich raczej będzie trudny do zastosowania, chociaż być może się myłę.

Bardzo ciekawe było wystąpienie pana profesora Antoszewskiego. Myślę,

że te wszystkie ukazane przez pana profesora cechy unikatowości Polski należałoby jednak uzupełnić o jeszcze jedną ważną rzecz. Wydaje mi się, że warto sobie zdać sprawę, iż pierwsze częściowo wolne wybory w Polsce, o których dzisiaj mówimy, pod jednym istotnym względem były wyborami niedającymi się porównać z żadnymi innymi przywołanymi przez pana. One rzeczywiście były wyborami limitowanymi w sensie ich demokracji. To jest oczywistość i o tym wiemy. Pamiętajmy jednak – i myślę, że taką tezę mogę postawić – iż właśnie dlatego były takie, a nie inne. Opóźniło to znacząco kształtowanie się systemu partyjnego, odpowiadającego podziałom politycznym w polskim elektoracie.

To się za nami ciągnie do dzisiaj, bo w istocie pierwszymi wolnymi wyborami w Polsce, paradoksalnie, stały się dopiero wybory prezydenckie. Nie tylko w niczym nie dopomogły, ale też spowodowały między innymi dekompozycję obozu opozycyjnego. Sama w sobie nie jest ona żadnym zaskoczeniem, bo jak pokazuje historia, gdy znika wspólny wróg, ta dekompozycja może się stać bardzo gwałtowna i mieć fatalne skutki. Podałem przykład Irlandii w roku 1922. Przypomnijmy sobie – mówię o tych rażących przykładach – Filipiny z roku 1986, Rumunię z roku 1989, czyli szybką jedność i całkowitą dekompozycję. Warto także podać przykład, z naszego punktu widzenia stanowiący klęskę przewidywań naszych polityków. Mam na myśli Ukrainę sprzed kilku lat, a to absolutna klęska. To, że tam nastąpi dekompozycja obozu, który wtedy wygrał wybory, było absolutnie łatwe do przewidzenia, jeśli się patrzyło na osobowości polityczne Juszczenki i Julii Tymoszenko. W Polsce to nie znalazło się przedmiotem debaty. Ubolewam nad tym, bo jesteśmy tym trochę – może nie my jako politolodzy, ale jako społeczeństwo – zaskoczeni z pewnością.

Jeszcze dwie ostatnie drobne uwagi. Myślę, że to, o czym pan profesor Antoszewski był uprzejmy wspomnieć na temat samych Czech, czyli marginalizacja partii komunistycznej, stanowiło przywitanie z tą partią z radością. Ta partia po prostu dysponuje znaczącą legitymacją społeczną sprzed II wojny światowej. Dla Czechów w zasadzie nie była to partia „zainstalowana” w parlamencie przed wojną, miała trzecie, czwarte miejsce. W związku z tym dla nich taka pozycja nie była niczym nowym. Myślę, że świetnie sobie z tym poradzili ku zaskoczeniu naszych analityków w Polsce, mojemu również.

Uwaga odnośnie do tego, co był uprzejmy powiedzieć pan marszałek. Nie do końca się z panem zgodzę w jednej kwestii. W Polsce nie rządziła klasa robotnicza. Klasa robotnicza była częściowym suwerenem, rządziła biurokracja, która była inaczej nową klasą. To do końca nie jest, moim zdaniem, opinia zasadna. Paradoksalnie natomiast polska rewolucja, jeśli spojrzymy na nią z perspektywy innych krajów, była – jak mówią Amerykanie – *upper class*. W istocie, jej początek nie polegał na dogadywaniu się społeczeństwa, ale elit. Społeczeństwo miało prawo zabrać głos później.

Dziękuję bardzo.

Prof. dr hab. Karol Janowski

Wątków było wiele i jest problem z wyborem tego jednego. Po pierwsze, chciałbym nawiązać do wystąpienia pana profesora Konarskiego w kwestii totalitaryzmu. Zwykle używam takiej oto formuły, że była próba wprowadzenia konceptu totalitarnego na przełomie lat czterdziestych. I ona nie przyniosła oczekiwanego efektu.

Druga sprawa. Pojęcie totalitaryzmu jest współcześnie przez wielu autorów traktowane tak jak pojęcie komunizmu. Zresztą tu dzisiaj również część dyskutantów posiłkowało się terminami: „władza komunistyczna”, „komunizm”, „partia komunistyczna” etc. Oba te pojęcia współcześnie są używane nie w sensie opisowo-analitycznym, ale raczej oskarżycielsko-negującym. Nie mają zatem walorów opisowo-analitycznych. Nie będę tej myśli rozwijał. Jeśli jednak chodzi o tak zwany komunizm, to chyba pan profesor Roman Bäcker wspomniał o tym, że w latach siedemdziesiątych następowało już rozmywanie. Osoby poza podejrzeniami, czyli Kuroń i Modzelewski, w 1964 roku wystosowały list do partii, liczący 160 stron, który znalazł się na łamach książki wydanej przez „Kulturę” paryską. Główne tezy owego wystąpienia sprowadzały się do tego, żeby partia powróciła do źródeł komunistycznych. Oni obaj mieli świadomość, że partia „odpływa” od doktryny i zasad organizacyjnych, porządkujących czy konstytuujących partię komunistyczną.

Kwestia następna, czyli Okragły Stół. W moim przekonaniu, nie był on „ucieczką do przodu”, jak sugeruje pan marszałek. Tak zwana ucieczka do przodu nastąpiła już wcześniej, w drugiej połowie lat sześćdziesiątych, poprzez stwo-

rzenie różnych instytucji, które przejęły część konsultacji, opinii, między innymi rada konstytucyjna. Warto przypomnieć również to sławne referendum. Pozwolę sobie nie opowiadać, bo to przedłuży czas mojej wypowiedzi, ale sięgnąć do fragmentu swojej książki, między innymi na temat referendum: „Teza, jaką głoszają autorzy pracy o «Solidarności», czyli Leski i Holcer, że rząd przegrał referendum, nie uzyskując wymaganej większości odpowiedzi pozytywnych, połączona z domniemaniem o zawyżonych danych na temat frekwencji, wydaje się nieuprawniona. Trafniejszą jest konstatacja o nieosiągnięciu przez władzę zwycięstwa, zwłaszcza w odniesieniu do kwestii tak newralgicznej politycznie jak ceny artykułów konsumpcyjnych. Referendum nie dawało «Solidarności» legitymacji do zawłaszczania poparcia ogółu społeczeństwa. Nie stanowisko «Solidarności» wzywającej do bojkotu, w tym Lecha Wałęsy, domagającego się dopuszczenia nielegalnego związku do życia publicznego, zadecydowało o rezultatach referendum. O tym przesądziły obawy co do ewentualnego obniżenia poziomu życia materialnego oraz niezgoda na ograniczenia socjalne, w tym przywileje, które zdawał się nieść program przeobrażeń strukturalnych, cofnięcie dotacji, twardy pieniądz, konkurencja, upadek przedsiębiorstw, i to niezależnie od stopnia determinacji władz w jego przeprowadzaniu”.

Proszę mi wybaczyć, że dyskutuję z uczestnikiem i bohaterem tych wydarzeń, ale perspektywa postrzegania zdarzeń przez bohaterów niejednokrotnie różni się z wynikami pogłębionej analizy zdarzeń i procesów.

Proszę Państwa!

W odpowiedzi na pewne wątpliwości, które przedstawił profesor Łuczak, dotyczące słabości ruchu ludowego, chciałbym powiedzieć, że, w moim przekonaniu, historia partii politycznych, jeśli sięgnąć do lat dwudziestych, trzydziestych ubiegłego wieku, w ostatnim dziesięcioleciu wskazuje na to, iż tracą oparcie te spośród nich, które są zakotwiczone w grupach społecznych. To bardzo wyraźna tendencja. Nieprzypadkowo partie chłopskie zaczęły się nazywać partiami ludowymi. Obecna Europejska Partia Ludowa nie jest partią chłopską, ale chadecką.

Jeszcze kwestia Okrągłego Stołu. Zgadzam się z profesorem Łuczakiem, że nie uruchamiał, ale był pewnym elementem całego procesu sięgającego przeszło-

ści, i to nie tylko przeszłości związanej z ruchem „Solidarność”, ale również z pewnymi narastającymi zmianami w reżimie autorytarnym.

Proszę Państwa!

Czy przypadkiem jest to, że zmiana polityczna w Polsce odbyła się zupełnie inaczej niż to się działo w wypadku Rumunii, Czechosłowacji, Węgier, a także Niemiec? W reżimie narastały pewne elementy demokratyczne, które – będąc zapowiedziami tego procesu – jednocześnie niejako „rozrzędały” ten potencjał konfliktu.

Chcę jeszcze wspomnieć o ostatniej sprawie związanej z Okrągłym Stołem. Prowadziłem badania, i to długoletnie, bo sięgające – muszę o tym powiedzieć, bo zostałem wywołany przez profesora Bäckera – początku lat dziewięćdziesiątych, napisałem na ten temat w sumie sześć książek. To nie jest mało. Inna rzecz, że wielu o tym zapomina. Ludzie nie czytają, Polacy nie czytają, uczeni również nie czytają. Z tych badań wynika, że Okrągły Stół wprowadzał nową jakość. Polegała ona na odejściu od konfliktu destruktywnego do konfliktu rozwiązywanego zupełnie odmiennymi metodami niż w przeszłości. Odszedł w przeszłość układ bipolarny.

Można by powiedzieć, że dynamika zmian, które nastąpiły po Okrągłym Stole, przerosła oczekiwania obu partnerów konfliktu. „Solidarność” wkroczyła niezwykle udanie w świat polityki. Wcześniej zresztą też była obecna, począwszy od 21 punktów poprzez – tego się nie zauważa – zjazd „Solidarności” w październiku 1981 roku. Na tym zjeździe sformułowane zostały dyrektywy politycznego działania, związane z modyfikacją czy w ogóle z reformowaniem ordynacji wyborczej, sądów, prokuratury, kwestii usytuowania, czy też wypchnięcia tego podstawowego ogniwa dla ówczesnego reżimu, czyli PZPR etc. Wielu autorów tego nie dostrzega.

Co się stało w 1989 roku? „Solidarność” nie była przygotowana do przejęcia władzy, zresztą demonstrowała to wcześniej, ogłaszając, że nie ma kadr, programu, bo rzeczywiście go nie miała. Pewnego rodzaju testem okazały się wybory prezydenckie, w których stała się siłą decydującą. Wbrew rachubom, że 65% przypadało na partie poprzedniego reżimu, w istocie „Solidarność” w pełni kontrolowała przebieg wyborów prezydenckich. Wyrazem tego jest jeden głos, któ-

rym został wybrany Jaruzelski. Notabene, wcześniej przez kilka tygodni „Solidarność” próbowała się zdystansować od tych niepisanych uzgodnień. Jest jednak zapis raportu ambasadora Stanów Zjednoczonych. Profesor Pastusiak na ostatniej konferencji na temat Okrągłego Stołu wyłożył raporty Daviesa. Dotarłem do tych raportów wcześniej i powołuję się na nie. Ambasador Davies zebrał przed wyborami prezydenckimi elitę, kilka osób „Solidarności”, i ich instruował, jak mają się zachować podczas wyborów prezydenckich w Sejmie, w Zgromadzeniu Narodowym. Zapisał tę instrukcję na firmowym pudełku zapalek ambasady amerykańskiej.

Dziękuję bardzo za uwagę.

Dr Wojciech Orłowski

Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie

Pozwoliłem sobie jeszcze raz poprosić o głos, dlatego że właściwie rozmawiamy tutaj o Okrągłym Stole, a Senat w tej dyskusji był mało obecny.

Nawiązując do wspaniałego referatu pana profesora, chciałbym jednak przedstawić jedną uwagę. Wydaje mi się, że poszukiwanie jakiejś cezury, od której się coś zaczyna albo kończy po roku 1989, może być bardzo ryzykowne. Uważam, podobnie zresztą jak pan profesor Łuczak, że to pewien proces, właściwie zapoczątkowany przez obrady Okrągłego Stołu w grudniu 1989 roku, który zakończył się głębokimi zmianami konstytucji.

Wracając do kwestii Okrągłego Stołu i Senatu, chcę przypomnieć, że pan profesor był łaskaw powiedzieć o tym, iż pierwsze wybory w Europie Środkowej były konfrontacyjne. Chciałem tylko przypomnieć, że w ustaleniach Okrągłego Stołu jest wyraźnie powiedziane, iż wybory do Sejmu dziesiątej kadencji miały być niekonfrontacyjne. Nawiązując do tego, co powiedział pan marszałek, czyli jak ówczesne władze mogły się zgodzić na takie wybory, uszczegółowiłbym jeszcze to stwierdzenie, jak ówczesne władze mogły zgodzić się na wolne wybory do Sejmu. Wolne wybory do Senatu zdynamizowały bowiem cały proces wyborczy. Jeżeli popatrzylibyśmy od strony prawnej na ordynację do Sejmu PRL i na ordynację do Sejmu dziesiątej kadencji, to ona niczym się nie różniła z wyjątkiem dwóch rzeczy: po pierwsze, możliwością zgłaszania kandydatów na posłów przez wyborców, po drugie, tym że komisje wyborcze zaraz po zakończeniu gło-

sowania musiały pokazać, wywiesić wyniki.

Jeżeli chodzi natomiast o układ obsady mandatów, to przecież istniały Front Jedności Narodu, PRON, które rozdzielały mandaty pomiędzy poszczególne ugrupowania polityczne. Tak naprawdę to, co chciano zrobić przy Okrągłym Stole, to wmontować ówczesną opozycję w istniejące struktury władzy. Właśnie umożliwienie wolnych wyborów do Senatu podwoiło liczbę mandatów, o które szła walka. Gdybyśmy popatrzyli bowiem na 35% mandatów w Sejmie, to 100 dodatkowych mandatów w Senacie stanowiło stawkę, o którą warto było walczyć.

Chciałbym jeszcze wspomnieć o jednej rzeczy, o której się nie pamięta. Wybory do Sejmu dziesiątej kadencji zorganizowano w okręgach wielomandatowych, ale istniały takie okręgi – przypominam sobie w moim otoczeniu – że nie było mandatu bezpartyjnego dla jakiejś części wyborców. Umożliwienie wolnych wyborów do Senatu spowodowało, że w całym kraju wyborcy właściwie mogli głosować na kandydatów komitetów obywatelskich, „Solidarności”.

Polemizowałbym natomiast z inną opinią. Nie uważam, że Senat był marginalny, jeżeli chodzi o strategię opozycji. To wynika z protokołów Okrągłego Stołu i z programu wyborczego Komitetu Obywatelskiego. Było tam widać wyraźnie, że przy konstrukcji nowelizacji kwietniowej wszystkie kompetencje Senatu odnoszono do kompetencji prezydenta. Jeżeli zatem prezydent miał prawo weta większością dwóch trzecich, to takiej samej większości żądano dla poprawek Senatu.

Warto też popatrzeć na jeszcze jedną strategię „Solidarności” tuż po wyborach. Podczas pierwszego posiedzenia Senatu, w lipcu 1989 roku, jedyną pewną funkcją państwową dla opozycji był fotel marszałka tej Izby. Gdybyśmy spojrzeli na obsadę przewodniczących komisji senackich, to można zauważyć, że ten alternatywny rząd, jak gdyby rząd cieni, był usytuowany właśnie w Senacie. To wyraźnie widać, także jeżeli chodzi o kwestię związaną z kandydowaniem właśnie do Senatu w roku 1989.

Chciałbym powiedzieć o tym, o czym tutaj jeszcze nie mówiliśmy. Według moich skromnych badań, właśnie wprowadzenie instytucji Senatu i przeprowadzenie wolnych wyborów, połączone z klęską listy krajowej w wyborach do

Sejmu dziesiątej kadencji, zaowocowało zwiększeniem frekwencji wyborczej w roku 1989. Tak naprawdę rachuby ówczesnych władz nie sprawdziły się, dlatego że frekwencja wyborcza przewyższyła to, co zakładano. To właściwie stało się przełomem, który doprowadził do tych szczęśliwych wydarzeń.

Dziękuję.

Prof. dr hab. Marek Jabłonowski

Uniwersytet Warszawski

Pani Marszałku! Pani Profesor! Szanowni Państwo!

Chciałbym powiedzieć dwa słowa. Mniej odnosząc się do spraw szczegółowych, pragnąłbym powiedzieć o dwóch kwestiach, mających bardziej ogólny wymiar. Na tle tego, o czym tutaj była mowa – między innymi wspominał o tym profesor Wawrzyniec Konarski – chciałbym się podzielić refleksją w ogóle związaną z Okrągłym Stołem i sytuacją w krajach obozu. Przy Okrągłym Stole spotkały się grupy ludzi, którzy chcieli się porozumieć. I to porozumienie osiągnięto. Przecież bardzo wiele mamy do dzisiaj wypadków, że ludzie, różne partie czy ugrupowania się spotykają i rozmawiają, żeby się nie porozumieć. Tutaj natomiast było ewidentne dążenie do porozumienia i do niego doszło. Potem jego warunki zostały dotrzymane.

Mam jeszcze jedną uwagę. To taka moja myśl, marzenie. Nawiązuję do tego, o czym mówił profesor Antoszewski w ciekawym wystąpieniu. Po dwudziestu latach, zdaje się, dochodzimy powoli do sytuacji, iż możemy zdobyć się na taką refleksję, na uogólnienie, na próbę syntezy, czym był rok 1989 w ogóle w naszej historii XX wieku, a może nawet szerzej. Wielkie osiągnięcie stanowiłoby, gdybyśmy jesienią tego roku, po tych bardzo licznych spotkaniach, konferencjach, sympozjach, publikacjach, zdobyli się na 10–15 stron syntezy, która potem znalazłaby się w podręcznikach, stanowiłaby coś „czystego” i do przyjęcia dla wszystkich, a jednocześnie prawdę historyczną. Co może robić nasze środowisko? Może mówić na ten temat. Może próbować przybliżać się do prawdy. Ta prawda jest bardzo skomplikowana. Gdyby tak naprawdę chcieć się odnieść dokładnie do roku 1989, to musielibyśmy wysłuchiwać licznych głosów prawników, historyków, socjologów, psychologów społecznych, specjalistów do spraw stosunków międzynarodowych. Państwo zresztą mówili na ten temat.

Pani profesor była łaskawa wspomnieć o pierwszym kongresie politologii, który ma się odbyć jesienią. Wydział Dziennikarstwa i Nauk Politycznych Uniwersytetu Warszawskiego ma swój udział w jego przygotowywaniu. Chciałbym na ręce pana marszałka i pani profesor przekazać pierwszą taką próbę naszego środowiska, służącą przybliżeniu się do pewnej wiedzy na ten temat. Nazywa się to „Polski rok 1989. Sukcesy, zaniechania, porażki”. Spróbowaliśmy tu zmobilizować środowisko politologiczne – przede wszystkim warszawskie, ale nie tylko, mamy trochę przyjaciół – i w tej pracy między innymi zwracamy uwagę na aspekt międzynarodowy polskiego roku 1989.

Wiele wypowiedzi tutaj, na sali, skłania do jakiejś repliki, zabrania głosu czy ustosunkowania się. Bardzo chętnie porozmawiałbym na przykład z profesorem Bäckerem na temat stanu świadomości uczestników obrad Okrągłego Stołu i konsekwencji poczynionych tam ustaleń. To pierwsza rzecz, która się nasuwa, a pozostała w świadomości nawet samych uczestników, gdy ich zapytać o to po latach. Na przykład z ustaleń podstolika gospodarczego została indeksacja. Indeksację uchwalono przy wielkim nacisku strony opozycyjnej, dwa miesiące potem trzeba to było wrzucić do kosza, i sam Mazowiecki to uczynił, bo nie było innej możliwości, żeby sobie poradzić ze sprawami gospodarczymi. W czasie rozmów ogóle nie przewidziano skutków, ale postępowano tak jak opozycja.

Z bardzo zaprzyjaźnionym z moim instytutem profesorem Gobanem-Klasem podyskutowałbym na temat licznych aspektów i wątków, które tutaj podjął, na temat mediów, a zwłaszcza języka. Trzeba by w ogóle pewne rzeczy inaczej nazywać. Warto by przypomnieć problem cenzury itd.

Jeszcze tylko o dwóch rzeczach chciałbym wspomnieć bardzo króciutko. Profesor Łuczak mnie sprowokował. Mamy taki obiegowy punkt widzenia na reformę Grabskiego. Mówi się, że ona była taka istotna. Oczywiście, była ważna, to jedna z dwóch reform gospodarczych w XX wieku, o której musimy mówić naszym studentom. Chciałbym jednak z całym naciskiem przypomnieć, że rząd Grabskiego to przecież także cały problem granicy wschodniej, jej uszczelnienie, powołanie Korpusu Ochrony Pogranicza. To również umowa konkordatowa z Watykanem, reforma rolna, w ogóle mnóstwo rzeczy. Broniłbym tezy, że to był pierwszy rząd, który naprawdę zaczął ten kraj porządkować, ustawiać wszystko

jak trzeba, miał do tego narzędzia i sobie z tym poradził.

Wspomniano o 1981 roku i o NSZZ Rolników Indywidualnych „Solidarność”. Warto by przypomnieć, że Sejm miał całą masę wybitnych posłów. Trzeba powiedzieć o zupełnie zapomnianej Komisji Nadzwyczajnej do spraw Kontroli i Realizacji Porozumień z Gdańska, Szczecina, Jastrzębia, na której czele stał profesor Jan Szczepański. Profesor Simonides, Rafalski, Reif, Hanna Suchocka etc. Ta komisja w marcu 1981 roku – mówiąc bardziej precyzyjnie, profesor Szczepański, mający specjalne stosunki z Wojciechem Jaruzelskim – w dużym stopniu przyczyniła się do wypracowania formuły prawnej powołania związku. To są już jednak sprawy szczegółowe.

Dziękuję bardzo.

Prof. dr hab. Teresa Sasińska-Klas

Uniwersytet Jagielloński

Dziękuję w imieniu pana marszałka i własnym za ten pierwszy, sygnały egzemplarz, jak rozumiem.

Kiedy dyskutowaliśmy na temat formuły kongresu, zaproponowałam panu profesorowi Markowi Jabłonowskiemu, żeby po konferencji, która w lutym tego roku miała miejsce, ukazała się publikacja. To natomiast wydawnictwo przygotowane specjalnie na kongres.

Proszę Państwa!

Zapraszam na promocję tej książki, czyli na dyskusję z autorami, których jest bardzo wielu. Planujemy ją w ramach kongresu politologii. Szczegółowy scenariusz zostanie jeszcze ustalony. Wspólnie postanowiliśmy jednak, że nad tą publikacją zostanie przeprowadzona dyskusja.

Dziękuję bardzo.

Dr Janusz Okrzesik

Wyższa Szkoła Bankowości i Finansów w Bielsku-Białej

Panie Marszałku! Pani Przewodnicząca!

Na szczęście, zgłosiłem się na tyle późno, że kilka rzeczy już powiedziano za mnie. Zacznę zatem od wyrażenia wątpliwości co do tezy, o ile ją dobrze zrozumiałem, którą postawił pan profesor Antoszewski. Była mowa, że oto po kilkunastu latach system partyjny, opierając się na dwóch dużych partiach politycz-

nych, odtwarza podziały z wyborów prezydenckich z 1990 roku. Mam wątpliwości, które chciałbym zgłosić.

Pierwsza jest taka, że trudno jednak Platformę Obywatelską traktować jako kontynuację czy odtworzenie obozu Mazowieckiego z roku 1990. Tak to wygląda również ze względu na wodzowski charakter tej partii, co staje się coraz wyraźniej zauważalne. Trzeba pamiętać, że Tusk był wówczas jedną z głównych postaci obozu Lecha Wałęsy. To moja pierwsza wątpliwość.

Druga to taka, że sam Lech Wałęsa znalazł się teraz zupełnie gdzie indziej. Orientowanie się na Lecha Wałęsę w ogóle jest bardzo ryzykowne. W tym wypadku też tego doświadczamy.

Uwagi do tezy pana profesora Bäckera. To dla mnie oczywiste i jasne, że nie Okrągły Stół, ale wybory 4 czerwca stały się tym rzeczywistym przełomem, punktem zwrotnym. Pewnie dlatego zresztą spotykamy się właśnie w tym terminie. Okrągły Stół, Panie Profesorze, pojawił się w pańskiej wypowiedzi jako taki tworzący zręby funkcjonalnego autorytaryzmu, nieco zmieniający tylko, dostosowujący instytucję reżimu autorytarnego do tego, żeby lepiej funkcjonować w zmieniającej się rzeczywistości politycznej i gospodarczej.

Do argumentów, które już tutaj padały o tym, że to były wybory konfrontacyjne, choćby do Senatu, chciałbym dołożyć jeszcze jeden. W mojej opinii, obie strony umawiające się przy Okrągłym Stole miały pełną świadomość tego, że jest to umowa, która ma charakter jednorazowy, nietrwały, czasowy. Strona solidarnościowa wyrażała to wprost, strona partyjno-rządowa może tak tego nie wyrażała, ale miała, zdaje się, świadomość owego nieuchronnego losu. Świadczy o tym choćby wypowiedź Rakowskiego z maja 1989 roku, przywołana w książce ostatnio wydanej przez Skórzyńskiego. Dziwił się, że szli jak barany na rzeź. Po tamtej stronie świadomość zatem, że Okrągły Stół jest wydarzeniem czasowym, nietrwałym, jednorazowym, również była. Tak naprawdę Okrągły Stół niczego nie zdążył zbudować. Proszę zauważyć, że znajdujemy się w jedynej trwałej instytucji powołanej w wyniku ustaleń Okrągłego Stołu, w Senacie Rzeczypospolitej. Reszta rozsypała się jak domek kart już kilka miesięcy później, cały ten kontrakt stał się nieistotny.

Kilku mówców przede mną, na szczęście, upomniało się o Senat, ja też się

chciałem o Senat upomnieć. Podczas tej konferencji mówimy o tradycji i współczesności demokracji parlamentarnej w Polsce. Warto w związku z tym przypomnieć i jeszcze raz podkreślić, jak wielką była rola Senatu w 1989 czy 1990 roku. Nie tylko ta symboliczna, bo Senat przez pewien czas odgrywał niezwykle rolę, uosabiał majestat Rzeczypospolitej, uosabiał również istotę demokracji politycznej. Odegrał także konkretną rolę polityczną w zmianie ustroju politycznego, bo przecież stąd wyszła inicjatywa i tak naprawdę tutaj została przeprowadzona decentralizacja państwa i restytucja samorządu terytorialnego, która z różnych powodów zaczęła się właśnie tu, a nie w Sejmie.

Panie Marszałku, w związku z tym zawsze dobre będzie przypomnienie, jak wielką rolę odgrywał Senat. Pozostaje pytanie, czy jeszcze byłby w stanie spełnić taką funkcję w odrodzeniu polskiego parlamentaryzmu. Podpowiadam jeden mechanizm, pewnie gdyby był jeszcze pan profesor Mikulski, może podałby więcej szczegółów na ten temat. To mechanizm, który mógłby w bardzo prosty sposób doprowadzić do całkowitej zmiany składu personalnego, politycznego czy mechanizmów funkcjonowania w Senacie. Za czasów I Rzeczypospolitej, w XVII wieku, obserwowano takie zjawisko, że część senatorów, którzy z racji pełnionych funkcji mieli prawo do zasiadania w Senacie, rezygnowała z mandatu senatora i na sejmikach ziemskich ubiegała się o mandat poselski. Dlaczego? Dlatego, że poseł otrzymywał diety i zwrot kosztów podróży, a senator nie. Być może warto z takich rozstrzygnięć ustrojowych, modeli ustrojowych korzystać przy odnowie polskiego parlamentaryzmu.

Dziękuję.

Prof. dr hab. Teresa Sasińska-Klas

Uniwersytet Jagielloński

Przechodzimy do odpowiedzi referentów na pytania. Proszę o zachowanie takiej kolejności, w jakiej państwo wygłaszali referaty. Na końcu chciałabym poprosić pana marszałka Borusewicz o odniesienie się do wypowiedzi. Pojawiły się bowiem pewne, można powiedzieć, opinie polemiczne z pańskim wystąpieniem, więc także proszę o zabranie głosu.

Prof. dr hab. Roman Bäcker

Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu

Panie Marszałku! Szanowni Państwo!

Jestem w trochę dziwnej sytuacji, bo właściwie udzielając odpowiedzi, powinienem mówić o wiele dłużej niż wtedy, gdy wygłaszałem referat. Mimo zapewnień pana marszałka mam świadomość, że wszyscy chcemy kiedyś skończyć to spotkanie.

Na początek pierwsza moja polemiczna uwaga, dotycząca wypowiedzi pana profesora Gobana-Klasa. Władza ma charakter relacyjny pomiędzy podmiotami, bytami społecznymi. W związku z tym pan marszałek Senatu reprezentuje władzę tak długo, jak długo na przykład pan profesor chce ją uznawać. Jeśli nie, to powstaje sytuacja króla z „Małego Księcia”.

Proszę Państwa!

Kwestia świadomości społecznej jest niesłychanie ważna. Pan marszałek mówił o tym, że Jaruzelski miał takie złe badania. Z tego, co wiem, między innymi z badań CBOS pułkownika Kwiatkowskiego z lat osiemdziesiątych, te badania były bardzo porządne, ale o charakterze ilościowym. Wszystkie raporty aparatu partyjnego były dosyć mocno fałszowane, SB czy informacji wojskowej – w trochę mniejszym stopniu, one jednak pokazywały rzeczywisty obraz sytuacji. Ogromna większość Polaków aż do obrad Okrągłego Stołu prezentowała konformistyczne nastawienie do istniejącego systemu. Stąd brała się nadzieja na to, że Okrągły Stół będzie jednak czymś pozytywnym dla aparatu władzy, czymś stabilizującym, legitymizującym, czymś porządkującym ośrodki decyzyjne.

Wszystko zaczęło się zmieniać wtedy, kiedy wyszło na jaw, że władza ustępuje, jest słaba, kiedy okazało się, że można mówić swobodnie, samodzielnie, można mieć swoje własne gazety, prowadzić kampanię wyborczą. Przypominę, że „Solidarność” miała kilkanaście swoich struktur postkonspiracyjnych w czterdziestu dziewięciu województwach. Stąd też sądzono, że w Senacie znajdzie się dwie trzecie przedstawicieli, z rozmaitych stron wyciąganych, aparatu władzy.

Kwestia następna – totalitaryzm. Proszę Państwa, ma rację pan profesor Janowski, a także Franciszek Ryszka we wcześniejszym artykule o totalitaryzmie, kiedy twierdzą, iż to w dużej mierze epitet, ale jednocześnie to kategoria teoretyczna. Trzeba tym terminem posługiwać się dosyć precyzyjnie: totalitaryzm w

rozumieniu takim, a takim. Ja posługiwałem się definicją Juana Linza i dlatego też tak do tego podszedłem.

Jeżeli weźmiemy pod uwagę totalitaryzm w rozumieniu Andrzeja Walickiego i twierdzenie o ideokratyczności jako podstawowym wyznaczniku, to wtedy można mówić, że w dużej mierze totalitaryzm w tym rozumieniu rzeczywiście kończy się w 1956 roku. Powiedzmy, trwa jeszcze przez okres gomułkowski, kiedy pomysły ideokratyczne były wcielane w życie. Jeśli z kolei rozważymy definicję Andrzeja Paczkowskiego o tym, iż terror decydował o istocie totalitaryzmu – osobiście się z tym nie zgadzam, ale jest taka definicja – to można uważać, że do tych tak zwanych niewyjaśnionych zabójstw księży mamy do czynienia z totalitaryzmem.

Bierzemy pod uwagę jakąś definicję, a z różnych definicji wychodzą różne wyniki, musimy zdawać sobie z tego sprawę. Nie oznacza to jednak, że wszystkie te kategorie teoretyczne nie nadają się do niczego. Nie, nie, po prostu pokazują konsekwencje przyjmowania odpowiednich definicji.

Nie zgadzam się z opinią, że klasa robotnicza była częściowym suwerenem w PRL. Raczej mamy do czynienia z traktowaniem proletariatu jako bytu wyobrazonego, nierzeczywistego. To jednak zupełnie co innego. Nie wolno mylić pewnych fraz totalitarnej grozy politycznej z rzeczywistą suwerennością czy podmiotowością polityczną, ona przysługiwała zupełnie komu innemu.

Zgadzam się z panem profesorem Janowskim, że przy Okrągłym Stole nie zapisano, iż prezydentem ma zostać Wojciech Jaruzelski. Jeżeli jednak przeliczymy mandaty strony rządowej i ich liczbę w Zgromadzeniu Narodowym, to okaże się, że było ich więcej niż 50%. Wiadomo, iż Zgromadzenie Narodowe miało wybrać prezydenta. Oczywiście zatem było, że strona rządowa miała wybrać prezydenta. To zostało zapisane, ale nie wprost, bo na takie nie wprost można się było zgodzić. Powiedzieć zwolennikom Wałęsy wtedy, przy Okrągłym Stole, że mają głosować na Jaruzelskiego, nie można było.

Proszę Państwa!

Zgadzam się z panem Orłowskim, że chodziło o wmontowanie opozycji do systemu władzy. Chodziło to, co można by nazwać przeniesieniem płaszczyzny rozwiązywania sporów między blokami politycznymi na wyższy poziom, umożli-

liwiający dokonywanie tego poza tak zwanymi nieformalnymi środkami nacisku grup interesu, czyli strajki, demonstracje itd. Chodziło o wyciszenie konfliktów społecznych poprzez przeniesienie ich na poziom instytucjonalny, polityczny.

Niewątpliwie wiadomo było obu stronom, że Okrągły Stół jest aktem jednorazowym, w dodatku zapisano przy nim, iż następne wybory będą miały zupełnie inny charakter. Tylko że słowo „demokracja” rozumiano wielorako. O tym, jakie były rozmaite sposoby rozumienia demokracji wśród różnych uczestników obrad Okrągłego Stołu po stronie koalicyjnej, pisze chociażby Krystyna Trembicka. Demokracja może być na przykład demokracją socjalistyczną. W takim wypadku mówienie o tym, że wszyscy się zgadzali na całkowicie wolne wybory, jest pewnym nieporozumieniem. Wszystko zależało od tego, co będzie w przyszłości.

Proszę Państwa!

Czas się kończy, chciałbym więc zwrócić uwagę na jeszcze jedną rzecz. Jeżeli analizujemy wydarzenia roku 1989, to musimy patrzeć na cały ten czas, na dzień, a czasami miesiąc, bo co kilka tygodni diametralnie zmieniała się sytuacja polityczna, zmieniała się w dużym stopniu świadomość. To, co „Solidarność” rozumiała jako coś oczywistego, czyli na przykład indeksacja, stawało się już zupełnie anachroniczne po kilku, kilkunastu tygodniach. To był okres gwałtownych przemian o charakterze rewolucyjnym, na całe szczęście, na poziomie instytucjonalnym i świadomościowym, a nie na poziomie aktów społecznych. Stąd też należy analizować bardzo uważnie poszczególne wypowiedzi, poszczególne stany świadomości i odnosić do kontekstu czasowego. Inaczej nie można.

Dziękuję bardzo.

Prof. dr hab. Teresa Sasińska-Klas

Uniwersytet Jagielloński

Chciałabym dodać tylko krótką informację, dotyczącą pierwszej części odpowiedzi na pytania. Pan profesor Bäcker przytoczył badania opinii publicznej. Generał Czesław Kiszczak w jednym z wywiadów, kiedy został zapytany o przyczyny, motywy tego, co skłoniło go do przygotowania obrad Okrągłego Stołu, powołał się na wyniki badań opinii publicznej, przeprowadzonych przez CBOS w lutym 1988 roku. To była nie tylko ilościowa, ale także pogłębiona, jakościowa

wa analiza. Wskazywała, że 74% społeczeństwa deklaruje zgodę na konflikt. Przebieg konfliktu natomiast pozostawał kwestią otwartą, czyli każda jego forma wchodziła w grę. Generał Kiszczak powiedział w wywiadzie, że po zapoznaniu się z tymi wynikami władze zaczęły się zastanawiać, co zrobić, żeby do realizacji tej deklaracji nie dopuścić. Dlatego w lipcu, a później w sierpniu zaczęły się dyskusje.

Prof. dr hab. Tomasz Goban-Klas

Uniwersytet Jagielloński

Chciałbym podziękować panu marszałkowi za wyjaśnienie dotyczące tych punktów. To znaczy, nie miałem co do tego wątpliwości, ale przypomniałem sobie, skąd o tym się dowiedziałem. Powiem skąd. W 1981 roku była w Polsce pewna doktorantka, wysłana przez znanego amerykańskiego profesora Zbigniewa Brzezińskiego, a nazwisko tej doktorantki to Madeleine Albright. Ona napisała pracę doktorską pt. „The Press Role”. Będąc w Krakowie, uczestniczyłem w tym jej projekcie, stąd potem moja książka na ten temat i zainteresowanie. Ona, o ile sobie teraz przypominam, w przypisie wspomniała też o tej Czechosłowacji. Chętnie służę, choć oczywiście nie miałem żadnych wątpliwości.

W czasach, o których dziś dyskutujemy, jak to się mówi, za robotnikiem stał intelektualista. Tak bym powiedział. Dodałbym jeszcze jedną rzecz. Tutaj nie padło określenie „wielkoprzemysłowa klasa robotnicza”. Oczywiście, klasa robotnicza była zarazem i *decorum*, i tym suwerenem, i tym wszystkim, o czym mówiliśmy. Gierek stworzył to pojęcie, które nie było marksistowskie, bo oni mówili o proletariacie, a on utworzył „wielkoprzemysłową klasę robotniczą”. Była ona jednak trochę inna w swojej organizacji, w swoim myśleniu, swoim wykształceniu, i to zwłaszcza gdańska wielkoprzemysłowa klasa robotnicza. Właśnie geniusz tej grupy polegał wtedy na wsparciu intelektualnym takich osób jak pan marszałek, a potem już innych, ale mówię o tej pierwszej fazie. Dziękuję, bo szykuje się drugie wydanie tej książki, w Stanach, uwzględnię zatem jeszcze to przyznanie się pana marszałka.

Dodam tylko jeszcze jedną rzecz. Psychologowie społeczni badający propagandę zauważyli już dawno, że propagandysta łatwiej ulega propagandzie niż obiekty jego działalności. W związku z tym sowietolodzy od dawna wiedzieli, że

takie najbardziej zakute łby – przepraszam za to określenie – miały zawsze aparat propagandowy, tak zwany *agitprop* w Rosji, bo tam zwłaszcza to było robione. Myślę, że w Polsce biznes, przedsiębiorcy, dyrektorzy, a także nawet służby specjalne, które dysponowały wywiadem, zwłaszcza wywiadem zagranicznym, miały inne rozeznanie.

Uważam, że ten kazus też się pojawił podczas obrad Okrągłego Stołu. Tam, gdzie potem wchodziło w grę przejęcie już nie przez same służby specjalne, ale przez partię kierowania pewnymi pracami Okrągłego Stołu, pojawiło się coś, co nazwałbym tu syndromem Czarastego, tego towarzysza sekretarza, który pilnował, żeby nie wygrać nadmiernie. To jest powszechnie znane. Chodziło mu o to, żeby nie wygrać za dużo, a miał pewne podstawy do obaw. Myślę, że zawsze sytuacja może okazać się dynamiczna. Dlaczego jestem przeciwny na przykład oskarżaniu socjologów, że zrobili złe badania socjologiczne, sondażowe. Wyniki badań przeprowadzonych tydzień wcześniej nie pokazują tego, co potem się dzieje. Nawet z Tuskiem i Kaczyńskim tak było, bo miał wygrać Tusk, a wygrał Kaczyński. Jeżeli jest piłka w grze to, w ostatniej chwili coś się może zmienić. Tym bardziej że to nie są nigdy dokładne dane, ale procenty. W tym wypadku było inaczej, bo tu zadziałał mechanizm spirali milczenia.

Jako obserwatora, który krążył między jedną a drugą grupą, uderzały mnie przy Okrągłym Stole dwie rzeczy: bardzo zdeorganizowana rządowa strona koalicyjna i zdyscyplinowana strona solidarnościowa. Oczywiście, teraz wiem, że w Magdalence więcej się mówiło, ale tam nie byłem. Ta grupa dwudziestu ludzi z Urbanem na czele – było tam ZLS, było SD – stanowiła właśnie stronę rządowo-koalicyjną. To była grupa, która nie wiedziała, co zrobić, zwłaszcza że na naszych oczach dokonywała się – przynajmniej mogę to powiedzieć o sobie, ale i o innych obserwatorach – zdrada PZPR przez Stronnictwo, a jeszcze bardziej przez ZSL. Gdy strona opozycyjna mówiła: „Trzeba nam dać więcej papieru” – to taki prosty przykład, bo papier był reglamentowany – ZSL wołało: „Tak, nasze pisma są tutaj dyskryminowane, proszę nam dać papieru”, i przechodziło na tak zwaną solidarnościową stronę. Gdy była sprawa cenzury, to pamiętam, że ZSL wracało do tradycji – wtedy jak przyjmowano dekret w 1946 roku, to PSL wystąpił przeciwko temu dekretowi. Tak że było już widać dekompozycję strony

rządowej i to uważam za bardzo ważne.

Strona solidarnościowa była natomiast zdyscyplinowana jak żołnierze. Tam się wręcz czuło, że żadne słówko nie padnie, żaden postulat nie będzie zgłoszony osobno, nikt się ze sobą nie kłócił, wszyscy występowali jednolitym frontem. Dlatego znaczenie Okrągłego Stołu z mojego punktu widzenia wówczas i teraz bardziej polegało też na tym, że to stanowiło jakby wykrystalizowanie się opozycji w pewną formę. Oczywiście, nie miałem rozeznania, ale pan marszałek może dodać coś do tego. Mimo że ruch niezadowolenia był duży, jak wskazywały badania, a gotowość do konfliktu – jak wielka rzeka, Okrągły Stół pozwolił wybrać tych głównych i ich przedstawić narodowi – o tym mówiłem – w postaci owych teczek, tych znaczków, pokazać twarze, a także się samemu zorganizować.

Jeśli już wspominamy o podstoliku medialnym, to warto dodać, że strona rządowo-koalicyjna poszła do piachu, jak ja to nazywam. Wszyscy ci, którzy tam byli, z wyjątkiem Urbana, bo on się uratował własnym piśmem, stracili wszystko. Tymczasem bardzo szybko Michnik, Łuczywo – nie będę tutaj wymieniał – stali się redaktorami gazet, czasopism itd. I tak było w wielu sprawach. Tak że nie byli przygotowani wcześniej, ale się ukształtowali.

Kończąc, chciałbym jeszcze powiedzieć o tej organizacyjnej funkcji Okrągłego Stołu. Pragnę podkreślić, że sam Okrągły Stół stał się także dezorganizacją, dekompozycją strony rządowo-koalicyjnej. Na co się nabrała PZPR? W dużej mierze na sojuszników. Z liczenia przed wyborami prezydenckimi wynikało, że Jaruzelski powinien uzyskać absolutną przewagę. To znaczy z tych statystyk sto sześćdziesiąt plus sto wynikało, że strona koalicyjna nie miałaby możliwości wybrania prezydenta. Trzeba jednak powiedzieć o tych wybranych ZSL-owcach i członkach SD, że przechodzili na drugą stronę. Pamiętajmy, że to był jeszcze ten element. Przechodzili z tysiąca powodów. Media też nie były ważne, bo wszystkich uwierało, że PZPR przez RSW zawłaszcza wszystko. Myślę, że to tak trochę było. Przepraszam, dodałem też od siebie inne spojrzenie, nienaukowe.

Dziękuję.

Prof. dr hab. Katarzyna Sobolewska-Myślik

Uniwersytet Pedagogiczny im. KEN w Krakowie

Dosłownie jednym zdaniem, bardzo krótko chcę powiedzieć, że pan profesor Konarski ma rację. Problem nieobecnych w Polsce jest ogromny. Wydaje mi się, że to stanowi tylko jeden z aspektów tego zagadnienia, o którym powiedziałam, wspominając, iż partie polityczne są nieskuteczne w nazywaniu, kształtowaniu pewnych podziałów, utrwalaniu, pomaganiu nam jako wyborcom w tym, żebyśmy czuli się naprawdę przez nie reprezentowani.

Chciałabym jeszcze odnieść się do wypowiedzi pana profesora, że mówiąc o lewicy, poszłam za daleko, gdy stwierdziłam, iż nastąpił już jej koniec. Pragnę wyjaśnić, że nie było to absolutnie moim celem. Chciałam jedynie zwrócić uwagę, wyeksponować pewien aspekt i myślę, że w tym kierunku też idzie pytanie pani profesor Sasińskiej. Oto dwie polskie partie, uznawane kiedyś za funkcjonujące w ramach jednego obozu, tak zwanego postsolidarnościowego, próbują wykreować podział, który będzie podziałem wyrazistym – o tym mówił pan profesor Antoszewski – Polska liberalna i Polska solidarna. Ostatecznie odejdą zatem od tego, że są post-„Solidarnością”. Żadne z tych ugrupowań nie pójdzie jednak w kierunku lewicowym, co jest ciekawe. Nie uważam bowiem, że to dobrze, aby w Polsce nie było lewicy. Irlandia jest takim krajem, w którym nie ma lewicy. Można sobie zatem wyobrazić taką sytuację.

Jeszcze ostatnia sprawa, mówił już o tym pan profesor Konarski. Chodzi o model organizacyjny partii. Pozwoliłam sobie o tym powiedzieć, ale nie w takich kategoriach, że ja jaki model postuluje. Ja takie modele tylko badam. To znaczy, staram się badać. Niestety, często to wychodzi bardzo źle. Myślę, że gdybyśmy my, naukowcy, budowali modele polskich partii politycznych, byłoby świetnie, byłoby spójnie, koherentnie, jednoznacznie i prezentowałyby się w sposób oczywisty. Niestety, robią to same partie, wolno im. Skutek jest jednak nie najlepszy. Tylko to chciałam powiedzieć.

Dziękuję bardzo.

Prof. dr hab. Teresa Sasińska-Klas

Uniwersytet Jagielloński

Można powiedzieć, że konstatacja jest taka, iż właściwie nie ma wyrazistej formuły reprezentacji interesów opcji lewicowej. Opcja centrowa się nie wykształciła, coraz bardziej natomiast dookreśla się opcja prawicowa w Polsce.

Prof. dr hab. Andrzej Antoszewski

Uniwersytet Wrocławski

Proszę Państwa!

Jak powiedziałem na początku, wydaje mi się, że więcej mówimy o Okrągłym Stole niż o wyborach czerwcowych. To się w tej dyskusji potwierdza. Chciałbym zgłosić taką generalną uwagę. Jeżeli spojrzymy na Okrągły Stół bez czerwcowych wyborów, to wypreparujemy to zjawisko i uzyskamy jego fałszywy obraz. Całe znaczenie, rola Okrągłego Stołu polega nie na tym, że on stworzył taką czy inną architekturę władzy. W zupełności zgadzam się z profesorem Bäckerem, iż to nie była żadna demokratyczna czy półdemokratyczna nawet koncepcja prezydentury. Ta formuła była taka, że rosyjski prezydent chciałby mieć takie uprawnienia, a nie ma ich, więc na pewno nie tak trzeba na to patrzeć. Istotą Okrągłego Stołu stało się podjęcie decyzji o tym, że odbędą się te kontraktowe wybory.

Zapowiedź, że do 1993 roku odbędą się wybory demokratyczne – tu bym się z profesorem Bäckerem nie zgodził, bo uważam, że po tych dyskusjach o wyborach do Senatu wszyscy mieli świadomość tego, co to znaczy demokratyczne wybory w 1993 roku. Niektórzy mieli tylko nadzieję, że to nie będzie dotrzymane. Pewności co do tego nie było. Taka obietnica się jednak pojawiła i to, moim zdaniem, jest sprawa najistotniejsza.

Pan Wojciech Orłowski powiedział, że Okrągły Stół się rozsypał, bo co z niego mamy?. Mamy dzisiaj Senat. Przypomnę też to, o czym mówiłem przed chwilą. Czerwcowe wybory miały istotne znaczenie choćby dla dalszego przebiegu procesów politycznych. Warto wspomnieć, że na przykład „dzieckiem” Okrągłego Stołu stała się ustawa z 7 kwietnia 1989 roku o stowarzyszeniach. To było rewolucyjne rozwiązanie, bo tak naprawdę otwierało to drogę do całkowicie już legalnego zakładania partii politycznych, tworzenia podmiotowości politycznej poza kontrolą władzy. Wydaje mi się zatem, że to jednak należałoby uznać za bardzo ważne.

Z Okrągłego Stołu pozostała także oczywiście prezydentura, choć jej koncepcja stała się już zupełnie inna. Ona zresztą ewoluowała i do dzisiaj chyba nie jesteśmy z tej koncepcji zadowoleni. W spadku po Okrągłym Stole uzyskaliśmy

również trzy ustawy wyznaniowe. Nie można zatem powiedzieć, że efektem tych obrad stał się tylko Senat, bo były też inne zdobycze.

Ktoś z państwa powiedział o tym, że wybory czerwcowe miały nie być konfrontacyjne. Takie sformułowanie rzeczywiście tam padło. Zastanawiam się nad tym, czy ktoś w ogóle na poważnie brał to pod uwagę, czy ktoś do tego przywiązywał wagę. Jeżeli dopuszczono rywalizację, to siłą rzeczy musiała być to konfrontacja w tym zakresie, w jakim była. Generalnie jednak, jej zakres okazał się znacznie większy.

Chciałbym wspomnieć teraz o tym, co się stało istotą czerwcowych wyborów. To chyba jakiś paradoks, jakiego nie jesteśmy w stanie do końca wyjaśnić, jak to się mogło stać, że strona, która miał zagwarantowane zwycięstwo wyborcze, przegrała w sposób tak spektakularny. Przecież te 65% to prawie możliwość zmiany konstytucji. Prezydent z takimi uprawnieniami w ręku to możliwość pełnej kontroli. To właśnie fenomen czerwcowych wyborów. Myślę, że o tym powinniśmy mówić, mówić i mówić, bo to rzeczywiście wzmacnia tę unikatowość polskiego przełomu.

Na zakończenie jeszcze jedna króciutka uwaga, dotycząca tej mojej konstatacji, że historia zatoczyła koło. Oczywiście, nie chcę powiedzieć, iż te dwie partie, które dzisiaj ze sobą rywalizują, władze, stanowią proste kontynuacje tamtych. Chodzi mi tylko o to, że rywalizacja w roku 1990 polegała na tym, iż z tego samego środowiska politycznego wyłoniły się dwa obozy, mające w tym wypadku odmienne wizje kandydatury czy najlepszego prezydenta. Dzisiaj natomiast z tego samego środowiska wywodzą się dwie partie polityczne, które mają inne wizje w innym zakresie. W tym właśnie widzę analogię i to zamknięcie koła.

Dziękuję bardzo.

Marszałek Senatu Bogdan Borusewicz

Chciałem podziękować panu Orłowskiemu, który powiedział o Senacie to, co ja powinienem powiedzieć. Faktycznie, usytuowanie naszej Izby po ustaleniach przy Okrągłym Stole stało się pewną odpowiedzią na wybory prezydenta w przyszłości. Wiadomo było, że prezydent będzie z tej strony starego systemu. Senat, to oczywiste, miał szanse być emanacją nowego. Opozycja starała się

przydać naszej Izbie takich przymiotów i nadać mu taką pozycję, jaką zajmował prezydent. Oczywiście, do końca to się nie udało, bo jednak szykowano olbrzymią władzę prezydenta. Senat nie stał się przecież organem wykonawczym, ale ustawodawczym. W związku z tym trudno było dać Izbie takie prerogatywy. Tak to zostało jednak pomyślane.

Kiedy zatem rozpoczęły się rozmowy, potem w czasie rozmów i w Magdalence, i przy Okrągłym Stole, a także kiedy się one zakończyły, nasza strona sądziła, że pozostanie zwarta na innym poziomie i nadal będzie opozycją. Stąd indeksacja, stąd ustalenia w części ekonomicznej. W zasadzie część ekonomiczna poszła na żywioł, a tym żywiołem kierował Ryszard Bugaj. W sytuacji kiedy strona rządowa nie próbowała blokować czy składać racjonalnych propozycji, to nasza strona, opozycyjna, nie miała żadnego interesu, żeby to robić, tym bardziej że tym najsilniejszym człowiekiem z różnymi pomysłami był Ryszard Bugaj. Stąd indeksacja, rady pracownicze, oczywiście, model raczej socjalistyczny, do którego można było się odwoływać, przykład jugosłowiański, chociaż aż tak daleko to nie szło. Rady pracownicze były nadal elementem reformy gospodarczej. To jest zatem jasne.

Strona opozycyjna nie sądziła, że przejmie władzę tak szybko. Uważaliśmy, że to będzie trwało jeszcze kilka lat, a to zwarcie pozostanie, ale już na innym poziomie, nie na ulicach, nie w postaci demonstracji ani strajków. Przyznam się państwu, że kiedy tworzyłem listę do Sejmu i Senatu w Gdańsku, robiłem to jednoosobowo, dlatego że sądziłem, iż muszą się na niej znaleźć ludzie sprawdzeni, oczywiście na odpowiednim poziomie, ale przede wszystkim sprawdzeni, to byli więc ludzie związani z podziemiem. Dosłownie wszyscy: Lech Kaczyński, Jan Krzysztof Bielecki, Bogdan Lis, Czesław Nowak i Jarosław Kaczyński, którego wcisnąłem na siłę wbrew lokalnym działaczom „Solidarności” w Elblągu – to wszystko byli ludzie o tego typu proveniencji. Mimo że decydowałem jednoosobowo, myślę, że to była bardzo dobra lista. Niezależnie od tego, jak oceniamy w tej chwili tych ludzi, wszyscy byli indywidualnościami. Chcę tu pokazać, odtworzyć swój sposób myślenia. Występuję tu w podwójnej roli, z jednej strony, historyka, a z drugiej – uczestnika tamtych wydarzeń, staram się odtworzyć swój sposób myślenia.

Teraz jeszcze kilka spraw. Mówiąc o klasie robotniczej jako o suwerenie, miałem na myśli ideologię komunistyczną, a nie realną sytuację. Gdybym uważał, że to jest realna sytuacja, to zapewne zapisałbym się do partii, a nie zdecydowałbym się na walkę z tym systemem. To była, oczywiście, konstrukcja ideologiczna, ale konstrukcja ideologiczna, w którą wielu członków partii wierzyło, może nie tyle aparat, ile ci ludzie – część z nich nawet się nie zapisała – a szczególnie robotnicy. I oni byli na ten haczyk łapani.

Referendum z 1987 roku. Skoro Jaruzelski zdecydował się przeprowadzić owo referendum i to referendum nie osiągnęło takiego rezultatu, jak chciał, było to referendum przegrane. Tak to wtedy odebrałem ja i tak to odebrało całe moje środowisko. Może wtedy Jaruzelski wraz ze swoją grupą uznali to za zwycięstwo, ale dla nas to był doping, wsparcie w działaniu, bo my to odebraliśmy jako porażkę tamtej strony.

Jeżeli już mówimy o subiektywnej ocenie, to przyznają państwo, że wynik wyborczy 92,24% jest wynikiem miażdżącym. Powiem państwu, że był to wynik wyborczy w okręgu gdańskim w wyborach do Sejmu na wiosnę 1980 roku. W sytuacji gdy wszędzie było powyżej 98%, to fakt, że w Gdańsku było 92,24%, odczytałem jako porażkę i wynik naszego działania, w którym wezwaliśmy do bojkotu – to było przed sierpniem, taka ostatnia, można teraz powiedzieć, przymiarka do tego sierpnia. Wydrukowaliśmy 30 tysięcy ulotek z wezwaniem do bojkotu i oficjalny wynik, który można było przeczytać, znacząco się różnił od reszty, 92,24%. Uznałem wtedy, że ta moja niewielka grupa ma już wpływ masowy, jej wpływ z elitarnego zmienia się na wpływ masowy.

Mówię o tym, bo chciałbym dać przykład tego, jak analizowanie samych liczb bez kontekstu może być mylące. Myślę więc, że kontekst – podobnie jak ten referendalny – jest istotny. Pani profesor powiedziała o badaniach w lutym, badaniach dotyczących zgody na konflikt, czyli sytuacji bardzo niebezpiecznej. Nie znałem, oczywiście, wyników tych badań w tamtym okresie, ale moja ocena była podobna. Pamiętam dyskusję, dość ostrą, w lutym 1988 roku z Bronisławem Geremkiem w Gdańsku. Mówiłem, że niewątpliwie nastąpi fala strajków, a on na to powiedział: „tu, na dłoni, mi kaktus wyrośnie”. Zapytałem go więc o ten kaktus, bo parę miesięcy później, trzy miesiące później, w maju przyszła pierwsza

fala strajków, potem lipiec, koniec lipca, sierpień – kolejna fala strajków, znacznie, nieporównywalnie większa. Byłem przeciwny rozpoczęciu rozmów, dlatego że uważałem, iż na jesieni, za dwa, trzy miesiące będziemy mieli trzecią falę strajków. Wtedy zaś nasza pozycja do rozmów stanie się znacznie lepsza. Uważałem, że niewiele się da uzyskać po strajkach sierpniowych.

Mimo że ta fala była znacznie większa, trzeba sobie przypomnieć, iż już podjęto decyzje, pacyfikowano kopalnie. W zasadzie utrzymywaliśmy te strajki w kilku miejscach: Gdańsk, Szczecin, Stalowa Wola itd. Moja decyzja, odmowa, muszę powiedzieć, nie miała charakteru strategicznego. Oczywiście było dla mnie, że walczymy po to, żeby rozmawiać, bo tylko poprzez rozmowy można doprowadzić do takich zmian. Moja decyzja miała zatem charakter taktyczny.

To wszystko, czym chciałbym się z państwem podzielić. Pragnę, oczywiście, powiedzieć również, że była to bardzo ciekawa dyskusja. Jako gospodarz bardzo za to wszystkim państwu dziękuję. Dziękuję za to, że można było z państwem się spotkać, podyskutować, pospierać.

Oczywiście, to był cały proces. Wiem, że naukowcy chcą to dzielić na kawałki, precyzować, ale to bardzo trudne, bo to był cały proces. Dla nas, dla mnie działającego w podziemiu też. Oczywiście, wolałbym, żebyśmy wyszli czwórkami i zrobili defiladę. Tej defilady nie było, w związku z tym wiele osób z mojego środowiska ma taki niedosyt, że nie było defilady. No, ale to był proces. Kiszczak i Siwicki, a także Jaruzelski, ale Kiszczak i Siwicki byli ministrami spraw wewnętrznych i ministrami obrony narodowej do czerwca 1991 roku, więc o tym trzeba przecież pamiętać. Myślę, że lepiej, iż to był proces, a nie zryw rewolucyjny.

Jeszcze na koniec powiem państwu, że kiedy działałem w podziemiu, w jego kierownictwie mieliśmy takie dwa syndromy. Jeden syndrom to był syndrom Powstania Warszawskiego, do którego nie można dopuścić. Opór, ale nieprzekraczający pewnych granic. Nieraz to było trudne. Drugi syndrom to syndrom piątej komendy WIN. Historycy wiedzą, o co chodzi. Piąta komenda WIN została utworzona przez UB. Oczywiście, jeżeli chodzi o ten pierwszy, to tu taktyka i pewna strategia grała rolę. Wtedy kiedy był bardzo wysoki poziom oporu, to tego nie „podkręcaliśmy”, ale kiedy ten opór się zmniejszał, to nasze struktury

angażowały się coraz mocniej. W końcu na nich się to wszystko opierało.

Rok 1985 to był trudny okres. Pani profesor o tym wspominała. To był dość trudny rok, bo wszystko „siadało”. Muszę powiedzieć, że od 1980 do 1988 roku my się ledwo doczołgaliśmy. Wszyscy byliśmy zmęczeni. To była walka destrukcyjna, wyniszczająca, wyniszczająca, ale trzeba było ją podjąć i działać. Zdawałem sobie z tego sprawę.

Jeżeli ktoś mówi, że w 1988 roku można było więcej osiągnąć, to na pewno po prostu stał z boku, bo nie wiedział, jaka jest sytuacja wewnątrz tych struktur, i nie wie, że poziom napięcia rewolucyjnego można utrzymać rok, półtora. My utrzymaliśmy go za to bardzo, bardzo długo, bo jakieś cztery, pięć lat. W 1985 roku już było bardzo źle. Okazało się jednak, że druga strona też jest zmęczona. Kiedy rozmawialiśmy między sobą, ile to potrwa, i koledzy pytali mnie, jak długo jeszcze, odpowiadałem, że jesteśmy zmęczeni, ale druga strona też jest zmęczona. Jaruzelski z ekipą jest od nas trzydzieści lat starszy, więc mamy czas.

Dziękuję bardzo.

Prof. dr hab. Teresa Sasińska-Klas

Uniwersytet Jagielloński

Pragnę ogłosić, że zarówno referaty, jak i dyskusja drugiej części naszej konferencji, czyli panel politologiczny, dobiegły końca. Dziękuję bardzo wszystkim.

Oddaję głos organizatorom konferencji. Panie Marszałku, w pańskie ręce.

Marszałek Senatu Bogdan Borusewicz

Dziękuję państwu bardzo jeszcze raz. Konferencja była naprawdę interesująca. Ostatnio często biorę udział w takich konferencjach. Przeważnie one mnie bardzo denerwują, bo zawsze badacze wiedzą lepiej. Wtedy, oczywiście, tych, którzy badają, to bardzo denerwuje. W tym jednak wypadku się z państwem zgadzam. Może dlatego, że powoli staję się też badaczem?